



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBERG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta
kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na pro-
wincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1
sgr. 20.

WYJĄTKI

Z POEMATU DRAMATYCZNEGO

TEOFILA LENARTOWICZA

pod tytułem:

„SOKRATES”.

Z Aktu I-go Sceny VIII-ej.

Sokrates

Jestżeś w obawie, Platonie, o rdzennej prawdy wytrwałość?
Im więcej biją kamienie, tem skry padają rżęsiściej,
Im zwawiej szaty zdzierają, tem piękność prawdy jaśniejsza,
Im iza gorętsza na oku, tem utwór mistrza wznioslejszy.
Ot, spojrzuj raczej na Psyche, dzieło wielkiego Fidyasa,
A chcesz posłuchać—posłuchaj: jak w myśli jego powstała.

Platon

Zwierciadło wieczne pamięci mgłą żadną nigdy nie zajdzie.

Sokrates

Było to w mojem dzieciństwie. Fidyasz mnie powiódł do Tebów,
Gdzie zwykł był czynić pielgrzymkę dc starca—w jednej tam grocie
Trzody pastucha—którego nazywał lud Filoktetem,
Przeto, iż w boju raniony, po grotach żywot prowadził.
Lat liczył ile—daremno, nikt się tam nie mógł dowiedzieć;
Stuletni ludzie gadali, że w ich dzieciństwie był starcem.
Owoż ten drugi Filoktet walczył w szeregach Spartanów,
A króla Lacedemonu, Leonidasa, piastował.
Pamiętał perskie tyary i assyryjskich łuczniców,
Indyan w płóciennnej odzieży, z długimi łuki z bambusu,
Aryanów, Kaspiów, koziemi skóry przez plecy wiązanych,
I Paflagonów we zbrojach w łuskę do ciała przyległą;
Z wodzów każdego pamiętał, a posłów perskich, on własną
Dłonią kark pyszny ująwszy, w spartańskiej studni zanurzył:
„Wody i ziemi żądacie? otóż wam ziemia i woda”.
Do tego starca mistrz Fidyasz, ilekroć dzieło miał nowe,
Myśl jaką wielką, w głąz wcielić, synowsko drogę obracał,

„Bo słowo jedno—powtarzał—z ust starców w przeszłość wprowadza
Więcej, niż długie pisanie; prawda z ust do ust przechodzi,
I ta jest żywa, co z żywych opowiadań się snuje;
Rapsody mącić rzecz mogą, lecz ognia prawdy nie tracą”.

Fidyasz znał każdą piędź ziemi i Hellespontu wód obszar,
Czarne mórz państwo na lekkim niegdys przepłynął okręcie:
Więc ziemię czytać mi kazał, jakoby prawa tablice.
Tu—mówił—Edyp zobaczył przy piramidzie Cekropsa.
Sfinx tu zaszedł mu drogę, ciemnymi wróżby przeraził,
Tu stał się Laja mordercą,—tu Eumenid oliwy—
Ztąd czuła dłoń Antygony w dalszą go drogę powiodła...
To wszystko mi pokazywał, pamięci mocno polecał:
„Bierz w serce swoje tę ziemię, a będziesz sercem tej ziemi”.

Gdyśmy dotarli pod bramy miedziane, silnie oprawne,
Rzekł mi: „Pamiętaj, Atrydów krwawe się cienie tu włóczą”.
Teby już były w ruinach, pilastry leżały w słońcu;
Starzec śród białych róż siedział, za nim obelisk wysoki
Przy czystym słońca zachodzie cień rzucał długi—daleko...
Na przechodzących nie baczył starzec, wpatrzony w swą trzodę:
Ręce na kiju opierał, głowę opierał na rękach;
Kiedy Fidyasa zobaczył, uśmiech mu w ustach zaigrał—
I rzekł: „Chłopięta jak wróble: rzuć okruszynę jednemu
Dziesięciu wnet przyprowadzi—dzieci i wróble i dziady
Wnet się obniosą. Nowego Fidyasz mi wróbla prowadzi”,
„Heroju, Bogom podobny, dzieje nam Psyche opowiedz...“
Dwa razy spojrział bohater, dwa razy w ziemię wzrok spuścił:
—„Mój Leonidas tej słuchał powieści—i z ócz szlachetnych
Starca lzy grube upadły—Od dni tych wiek się przetoczył,
Wszystkich żyjących to powieść, prócz Leonida—i płakał—
On nigdy nie upadł, w górę tam szedł i zaszedł tam—zaszedł”.
Tu starzec ręką wychudłą na góry wskazał ojczyste,
Znad których Febus łagodne ostatnie rzucał promienie
Na białe świątyn ruiny, mgłą lazuruową owiane,
Których znaczenie zaciera i czas i ludzka niepamięć.

„Fronis chcesz wykuć w marmurze,—ze spojrzeń twych odgaduje
Nie gardź poetów powieścią, lecz wśród żyjących poszukaj,
Czasów dzisiejszych czy przeszłych, ukochaj Fronis Heroę,
W piękną niewiastę ją zamień, a dzieła sztuki dokonasz.

Piękność niech będzie tak wielką, jak Leonida duch wielki;
Jeżeliś mię dobrze zrozumiał, pozostań z ciszą i z sobą:
A z górnych szczytów Olimpu wzór się twym oczom objawi!
Niech się w niej pozna myśl grecka, tajemnic próżnych nie bada,
By czarny dym Prozerpiny jej pięknej twarzy nie zaćmił.
Wszyscy się wznosim, by spadać, i upadamy, by wznosić;
On jeden nie znał upadków, a gdy padł, zgonem bohater,
To jako słońce upada, by po odejściu od ziemi
Ciemne zostawić błękity, dla gwiazd pomniejszych Hellady.
Niech Psyche grecka ramiona rzuca na piersi herojów.
Kto czi odmawia poprzednim, na wzór potomnym nie stanie;
Gdy Fronis grecka upadnie, na gruzach pustka zasiądzie,
Jak ja na Tebów ruinie!—Rzekł i swe kozy popędził.

Platon

Niestety, jakież upadek, jaka ruina, ruina!
Helleńskie dziewczki „Iliady“ opowiadania się brzydzą,
Młodzież kijami Rapsodów, pieśń złotą noszących, wita.

Sokrates

Dopóki Delfy ściągają skrzydła ufności helleńskiej,
Cienie Fidyasza weselem wybranych mężów się cieszą.
Dzieło to mistrza wielkiego, któremu jednego skrzydła
Wygnyany wykuc nie zdążył, Sokrates kończy w dniu schyłku:
Obyż znalazło opiekę i cześć w Ateńczyków sercach!

Platon

O dzieło nie miej obawy: kamienie jeszcze dość pewne,
Którym się tarczą postawił geniusz skrzydlaty snycerza.
Mistrzu! ach w czasie dzisiejszym, w którym żyjemy, nie gładzi,
Lecz ludzka pewność się chwije i z podstaw bronzowych spada,
Gardło rozdarte się stało panem społecznych stanowisk.
Nie o twe dzieła, o mistrzu: o ciebie chodzą obawy....
Widziałem twoją małżonkę—ta w Gineceum, strapiona,
Synów twych czola całując, płaczem zawodziła wielkim....
Słudzy Archontów przynieśli do twego domu niepokój;
Anytus Archont na ciebie skargę o bluźnierstwo wkłada.

Sokrates

Występny niech się obawia: bądźmy spokojni na wszystko.
(wpada kamień)

Platon *(podejmując—czyta)*

„Na dudka chciałeś wystrychnąć twoje rodzinne Ateny;
Figurki lepiąc w młodości, przyszłość do głowy szaleństwo,
Ze gliną ludność ateńska, i że z niej zrobisz co zechcesz.
W Egipcie magiem-byś został: biadać w swobodnych Atenach!
Różne są ludów przynioły; praca twa grubą pomyłką.“

Sokrates *(do siebie)*

Rodzinnej ziemi piękność tak przenika
I rozpościera się na wiek nasz cały;
Jej-to śpiewają dzień po dniu pochwały
Hymny Rapsoda i pieśni słowika.
Ateny moje! o jakże tu błogo
Temu, którego rydwan niesie złoty,
I nędzarzowi pod szatą ubogą,
Pod cennym płaszczem i płótnem Heloty.

Platon

A wiesz coć kamień przynosi?

Sokrates

Cieżar zwyczajnie przynoszą....

Platon

Takaż ci, mistrzu, nagroda?

Sokrates

Złośliwość nowa zapewne.

Platon

Zkąd się ta bierze?—w pojęciu mem pomieścić się nie może.

Sokrates

Gdybyś chciał czytać co piszą, wieleć-by czasu zabrało.
Pamiętki te pozostaną; ktoś je w przeszłości odczyta.
Ja na nie oczu nie zwracam; dość, gdy nie w głowę uderzą:
Toć jeszcze wielka łaskawość, a czasem, czasem uderzą.
Patrz, codzien kamień ktoś wrzuci; jak widzisz, zbiór dość poważny.
Wieżę-by można zbudować z niecierpliwości ateńskiej.
Nie dawniej oto, jak wczora, nieprzyjaciele Apolla,
Widząc, że promień na mojem, słoneczny czole odpoczął,
Kijami bili ów promień, stary mi chiton podarli,
Mysząc, że słońce zabiją.... Niel gniewu, śmiechu to godne.

Platon

Lecz zkąd, zkąd taka nienawiść?

Sokrates

Synu Melanta, rzecz prosta.

Platon

Wytlómacz, proszę, zagadkę.

Sokrates

Życie to nowe roślinne:
Spojrzyj na dęby. Gdy młode pękają liście na wiosnę,
Czy który miejsce zostawi swym przeszlorocznym rodzicom?
Nad sarkofagiem kołyska o miejsce swe się doprasza;

Chwila, a łoże dzieciny w sarkofag znów się przemieni.
Zniewagą tego nie nazwij—myśli wszechwieków przewodniej;
To, widzisz, rąk tych zniewaga, i głosu tego, co słabnie,
I grzbietu, co się pochyla, skroni, co włosy straciła:
Krwawa ta straszna wesołość, widoczna w natury prawach.

Platon

I czyż nad prawa natury nigdy się umysł nie wzniesie?

Sokrates

Nigdy?! To słowo bluźnierstwem; zczasem się wszystko odmieni.
Słuchaj, o nędzy Helotów powieści tylko zostaną;
Konieczność boska po szczeblach coraz wznioślejszej piękności
Prawa natury zwycięży, miłością zgrozę zastąpi.

Platon

Helotów, mówisz? Ta zgraja—bezmysłnych zwierząt przy żarnach
Stanie się równą w godności rodem od wieków przesławnym?

Sokrates

Stanie się! Słuchaj, Platonie, choćbym twą przyjaźń miał stracić,
Nie dość, że stanie: przy jednym społecznym stole zasiądzie;
Gdy będzie godną zaszczytów, któż jej zaszczytów zaprzeczy?
I któż przyszłości zaprzeczy? Objął-żeś całość istnienia?
W nieskończoności obszarach dla wszystkich zjawisk jest miejsce.
Sam-że powiadasz, Platonie: „Ateny gniazdem swobody“—
A w nich po ulicach krowy nieprzeszkodzone po bokach
Skubią rośliny obficie pod posagami rosnące,
Niewolnik w oczy dowcipnie swemu się panu spogląda,
A boska litość odbiera cześć najpiękniejszych Atenek.
Przyjdzie, o przyjdzie dzień piękny powszechnej świata miłości!

Platon

Do dziś dnia na to się jeszcze nie jawią dniowe jutrenki.

Sokrates

Nie licz dni świata do dziś dnia, i nie kończ świata rachunków.
Piękność, powiadam, Platonie, którą bez wiedzy artysta
W czarownym dziele zamyka, jest przepowiednią tych schodów.
Dzisiejsza Venus-Urania kiedyś się żywa po mieście
Przesunie śród spółniebianów, czy spółziemianów, jak zechcesz.
I ci geniusze skrzydlaci, których dziś widzim na skrzydłach,
Z nowego wieków porządku wpośród żyjących się zjawiają.
Piękność najwyższa, Platonie, jest i mądrością najwyższą,
Jest i porządkiem najwyższym! Kiedyś tę prawdę zrozumiesz.
(wpada drugi kamień)

Sokrates *(podejmując—odwija liść papirusu)*

„O Sokratesie, niewiasty strzeż się, niewiasty złośliwej“ *(rzuca)*
Ot, widzisz, ten jest przestroga; nieznając, nie mam obawy.

Platon *(czyta dalej list papirusowy)*

„Strzeż się Ginejki złośliwej i obrażonych poetów“.

(do Sokratesa)

Słyszałeś, mistrzu? Poetów,—Rzeczypospolitej to plaga.
Arystofanes, Kratinos i wszyscy, ilu komików,
Huczne zbierają oklaski za swe bezczelne parodye;
Gdy złe i dobre wyśmieją, coż pozostanie w Atenach?

Sokrates

Świat górny w Morzu Egejskim swoje znajduje zwierciadło;
Wszystko do życia ma prawo, w czemkolwiek jawi się życie.
Arystofanes Satyrem, a Kraton Faunem lasów—
I mają racją swą bytu i i im należy swoboda;
Na boskich krzesłach opasły Bachus nie bierze pijany,
Trefniś gdy siedzie na tronie, Ateny będą do więzienia;
Państwo albowiem wymaga natury w słowa oszczędnej,
O wielkich dziełach w rozmyślach i o spokoju codziennym.
Zostaw-że wolność Satyrom: nie bierz ich tylko za Zeusów;
Prześladowanie ich wartość w oczach pospółstwa powiększa.

Platon

Lecz oni mądrość zabijają....

Sokrates *(z uśmiechem)*

Mylisz się, współczesnych tylko....
Jako? myśl wichry zabijają?? Księżyc spokojnie wschodzący
Wycia psów spędzą z niebiosów? Jeszcze-by tego potrzebali
Jeżeli zabijają mędrca, mądrość odzyska swą władzę,
I niewidzialna na ziemi,—na niebie luną się stanie.
Stanie się zorzą poranku dla nowych dziejów okresu.
Śmiechem na bogach lud mści się.. miecz zwyciężonych—szyderstwo.
Po krwi rozlewie szaleństwo, gorączka we krwi upadłych;
Gdyby nie straszna porażka, umysł-by Greków nie szalał.
Pijaństwo myśli jest prostem rozpusty ludu następstwem;
Rozpusta zaś, o Platonie, świadczy o podłej rozpaczce;
Tryumf nicości ta śpiewa, lecz własnej nicości tylko.
Szachinszach się pnie po władzę, pijanych w lyka powiąże;
A talent Arystofana korony weźmie w narodach,
W których po krwawych zapasach śmiech tylko został orężem.
(do Platona zbliżając się)

Sądziś więc, żeśmy ruiną?

Platon (z oburzeniem)

Oh!

Sokrates

A więc na śmiechy nie zważaj.
(słychać krzyki i świsły zewnątrz)

Platon

Lecz ta kobieta, kobieta...

Sokrates

Nie znam i znam ich tysiące:

Złe—dobre—puste—poważne—szalone—zimne
[i—wściekle.

JUSTKA

MINIATURA

z życia powszedniego

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Wiedzano, że wieczorem z książką do nabożeństwa wyszła wrzekomo do kościoła. To było wszystko.

Na kilka dni przedtem, pod pozorem darów dla ubogich, wyносиła rozmaite zawiniątka z domu; lecz, że się to nie poraż pierwszy przytrafiało, nikt na to nie zwracał uwagi.

Wychodzącemu, na dole, przed domem, zastąpił drogę p. Leon, ofiarując się do posług, jeżeli były potrzebne.

— Staraj się pan wyszukać najmniejszy ślad kierunku podróży, drogi, celu: uczynisz tem przysługę wielką—odparł Zygmunt—Ja z mojej strony, natychmiast przedsięwzięję poszukiwania. W domu niema żadnej wiadomości, ani śladu dokąd się udać mogła.

— Sama?—zapytał niespokojnie Leon.

— Tak się zdaje—rzekł, żegnając go Zygmunt.—Czyni pan ze swej strony co uznasz właściwem, a ja—żegnám, bo we dwu nic poczynać nie umiem.

Zygmunt, obyty z miastem, dosyć przebiegły, natychmiast począł od śledzenia, czy nie wzięto pasportu. Okazało się, że wistocie przed paru tygodniami na imię Justyny wydany był roczny, do Rosyi i zagraniczny do Niemiec. To nie mówiło nic.

Tyle pociągów wychodziło wieczorem, iż domyśleć się, którego użyła p. Justyna, było trudno, a wreszcie niepewność postawała, czy się koleją wybrała. Na wszelki przypadek p. Zygmunt poszedł po kassach pytać o młodą osobę w żalobie; ale to, jak się domyślić łatwo, nie doprowadziło Zygmunta do niczego.

Ze znajomości większej lub mniejszej kraju nie wnosić się nie dawało, gdyż p. Justyna wogóle znała go bardzo mało.

Musiła sobie zapewne wyszukać towarzyszkę jakąś, lecz na tej trop wpaść Zygmunt nie umiał. Dzień cały niezmordowanie pracował, wiedząc, że po dniach kilku ślady się zatrą, a poszukiwanie stanie się trudniejszym; ale bardzo późno, zgłodniały i zmęczony, gdy zastukał do drzwi p. Jolanty—bo ta go zakleła, aby jej dał wiedzieć o sobie—musiał się przyznać, iż nic a nic nie potrafił zdobyć.

Z ostatnich rozmów z Justyną, które usilnie sobie starała się przypomnieć Jolanta i Zygmunt, z rozpytywań o rozmaite kraje strony i miasta, nic się nie dawało wynioskować, chociaż do pewnego czasu badała nawet p. Zygmunta o różne znaczniejsze miasta Królestwa i Cesarstwa.

— Drzę, myśląc—wołała zapłakana nauczycielka.—Pełna ufności w ludziach, nieopatrzna, da się obedrzeć, straci wszystko, zamęczy się i zginie lub powróci złamana! Widzę z przerażeniem, że zabrała z sobą wszystko co miała!—do grosza. Sprzedaż jej ruchomości, choć także coś uczynić może, już straty nie wynagrodzi.

Zygmunt był także tego zdania, że zwycięzko wyjść z tej próby, przy niedoświadczeniu, młodości i szlachetności Justysi, nie było podobna.

Pan Leon ze swojej strony zapalczywie śledził dzień cały, chodził, pytał, posyłał i nazajutrz rano przyszedł do Zygmunta ze smutnem wyznaniem, iż nie znalazł najmniejszego śladu.

Był zrozpaczony.

Radzca urzędownie wystąpił nie z większem szczęściem; poszukiwania na tej drodze nie mogły przynieść nic.

Dla wszystkich przyjaciół dziewczęcia był to cios niewypowiedzianie bolesny; może tylko jeden baron Brock ręce zacierał i tryumfował, dowódząc, że w tem wszystkim krył się romansik, który tłumaczył właśnie, dlaczego jego, barona, wspaniałomyślna ofiara nie była przyjętą.

Tymczasem proces krokiem powolnym szedł swoją drogą.

W jednym z tych miast prowincjonalnych, niezbyt odległych od granic Królestwa, które dopiero w ostatnim czasie żywiej cokolwiek rozwijać się i podnosić zaczęły, na głównej ulicy stanowiącej arterją, którą krążyły soki żywotne stolicy gubernialnej, w dosyć czystym i okazałym domu o pięciu oknach, którego dół zajmowały dwa niepokaźne sklepy, u balkonu pierwszego piętra—błyszczała tablica, dwujęzykowym napisem opatrzona, a zwiastująca Magazyn mód i ubiorów, skład kwiatów i piór.

Imię właścicielki było widocznie pseudonymem i brzmiało tylko: „Jadwiga“.

Na dole sklepy były dosyć czyste, ale niepokazne, wejście przez główne drzwi na pierwsze piętro uderzało kontrastem, gdyż urządzone było z widocznem staraniem o wdzięk i elegancją, oile na nie miejscowe stosunki zdobyć się dozwalały.

Podłogę sieni przerzynał dywanik, który rozścielał się dalej po wschodach. Ładna, dwie lampy z globusami przyświecały u wnijsia wieczorem; nawet poręcz wschodów, wytworność na prowincyi niesłychana—okryta była pluszem.

Nad drzwiami pierwszego piętra tablica nie dozwalała się omylić, wskazując magazyn p. Jadwigi.

Niekażdego dnia w mieście, nie nazbyt ożywionem, słychać tu było i widać ruch i życie, lecz niekiedy sklepy umieszczone na dole, z których ziewający wyglądali kommissanci, zazdrościły magazynowi na pierwszym piętrze, do którego zajeżdżały powozy, zachodziły panie, przychodzili posłańcy, a poczta przynosiła niezliczone listy i przesyłki.

Magazyn pani Jadwigi, młodej wdowy, cieszył się od lat trzech nadzwyczajnem powodzeniem, tak, że berdyczowskie modniarki zazdrościły mu i przypisywały to szczęście, nie istotnej wyższości zakładu, ale wdziękowi i zalotności właścicielki.

Chodziły o niej wieści najrozmaitsze, ale z nich to jedno było pewnem i nienlegającym wątpliwości, że pani z pseudonymem Jadwigi była osobą wykształconą bardzo, mówiącą kilku językami, muzykalną. Pocihu jedni twierdzili, że to była artystka jakiegoś teatru, której się deski przykrzyły, drudzy domyślali się gorzej.

W czasie pobytu swojego w mieście młodziechna i bardzo piękna wdowa, pomimo zajęcia jakie obudziła w kołach urzędników i majątniejszych obywateli, zachowywała się tak skromnie i z taką surowością i niemal pedanterją, że tu o niej nic nikt powiedzieć nie mógł, oprócz, że była niedostępną.

Panie, które do magazynu, po tych pochwałach przybywały z niedowierzaniem, wychodziły z niego zdumione, szepcząc:

— W tem jest jakaś tajemnica!

Tajemnicy domyślali się zgodnie wszyscy, lecz nikt odkryć jej nie mógł, chociaż przez lat trzy się o to starano. To, z czem człowiek się tai, zawsze prawie zaszczytu mu nie przynosi, zatem, i w tej przeszłości ciemnej p. Jadwigi domysłano się strasznych dramatów i niepięknych przygód.

Tymczasem postępowanie posiadanej kłam zadawało widoczny tym wymysłom. Żyła bardzo osamotniona, pracując, nie zawiązując stosunków,

unikając ich nawet, zabawiając się muzyką i czytaniem. Gdy ją w miejskie towarzystwa wciąż usiłowano, tłumaczyła się zajęciem wielkiem a małym zdrowiem. Nie bywała nigdzie, tylko w kościele i czasem na przechadzkach, ze starą jejmością, prostą a dobrą kobieciną, którą sobie przybrała—karmiła i poila ją, aby nie być zupełnie samą. Młodzież rozmaitemi sposobami usiłowała się zbliżyć do pięknej młodej wdowy, lecz Justyna umiała temu zawsze zapobiegać w samych początkach.

Panie ze wsi, majątniejszych rodzin, które szerszy świat znały, umiały ocenić p. Jadwigę, nazywały ją „une personne très comme il faut“, zdawały się na jej smak, podziwiała skromne rachunki, a najmocniej intrygował je tu fortepian, nuty i nowe książki.

Modystka z takimi upodobaniami, niewymagająca, niedroga, skromna, zdobywała ich serca. Nie śmiały się z nią sponfalać bliżej, ale niejedna, zmuszona w salonie czekać dłużej, przerzucała książki, przepartywała nuty, wydobywała albumy i—zdumiewała się, nic nie rozumiejąc.

Nie było już potem mowy o artystce na reformie; zaczęto się domyslać jakiejś nieszczęśliwej, znacznego domu i dobrego urodzenia kobiety, w tej nieznanym. Zyskiwała sobie sympaty, oświadczano się jej z niemi, chciano podzielać jej cierpienia; ale ona uśmiechała się swobodnie i zapewniała, że ze swego położenia była kontenta i na życie się skarżyć nie miała prawa.

Wistocie interessa magazynu szły bardzo dobrze. W pierwszym roku zbyt był mały, nikt zakładu nie znał; powoli rozszerzało się koło osób znajomych; jedni polecali drugim klientella panny Jadwigi, szczególnie po prowincjach sąsiednich, daleko się rozpowszechniła. Niektóre panie parę dni spędzały w mieście, większą ich część trawiając w salonie modystki, aby mieć przyjemność mówić z nią i spędzić kilka godzin w jej towarzystwie.

Po upływie tych pierwszych lat nowicyatu można już było sądzić, że p. Jadwiga pozostanie tu nazawsze, a kilku urzędników, domyślając się zamocności, miało na widoku staranie się o jej rękę, gdy zaszły niespodziane okoliczności. Z dalszych stron na karnawał przybyły w okolice syn p. Sędziny Karandaszewskiej z Baranówki, p. Leon, któremu matka starzejąca się zalecała ożenek, znalazł tu z łatwością przystojną i dosyć dobrze wychowaną panienkę, która po najdłuższem życiu rodziców miała dostać piękną wioskę wołyńską, słynącą ze swej pszenicy.

Panna bardzo ładną nie była, ale rodzicielski majątek prześlizchny, a dziewczę mogło się podobać z wesołego charakteru, uprzejmości w obejściu i pewnej naiwności, dosyć oryginalnej.

Pan Leon, który był przekonany, że matka mu nie wydzieli majątku, dopóki się nie ożeni, znużony żywotem kawalerskim, znajdując panienkę sympatyczną, wioskę wcale dobrą, rodziców sobie przychylnych, oświadczył się i został przyjętym; a że wyprawa była od dwóch lat na zapas gotową i zwlekać nie miano powodu, ślub się odbył, państwo młodzi wyjechali do Szwajcaryi, ale tylko saskiej, i, powróciwszy, przybywali teraz do rodziców, a tu sąsiedztwo z kolei dawało bale, wieczory i obiady na przyjęcie ich.

Pani Jadwiga miała więc wiele do czynienia i musiała nieustannie w Warszawy sprowadzać nowe zapasy kwiatów, wstążek i t. p.

Młoda p. Leonowa, ponieważ z wczesna i sposobem ekonomicznym miała sobie przygotowaną wyprawę przez zabiegliwą mamę, bardzo niewiele z magazynu p. Jadwigi potrzebowała. Jakkolwiek taniem tu było wszystko, matka p. Leonowej, osoba niesłychanie wyrachowana i oszczędna, utrzymywała, że w tem coś jest, że ta p. Jadwiga albo na gatunkach lub na robocie oszukiwać musi! Wołała więc targować się do upadłego gdzieindziej i może właśnie targ był dla niej siłą przyciągającą.

Obchodzono się więc bez tej nowej podejrzananej modystki i nie zaglądano tutaj.

Po powrocie z wycieczki do Szwajcaryi, przybywszy z młodą żoną, p. Leon na te wszystkie przyjęcia sąsiadów nie mógł toaletami wystarczyć: wypadła potrzeba przerobienia czegoś; a że

p. Leonowa czuła się niedysponowaną, wyprawiła więc męża z obstalunkiem. W miódowych miesiącach mąż każdy takich usług chętnie się podejmuje. Pan Leon pojechał do miasteczka, odszukał magazyn p. Jadwigi, zadzwonił do drzwi i został wpuszczonym.

Wprowadziła go starsza panna, Celestyna, do saloniku i poprosiła, aby chwileczkę poczekał na gospodynię. Pan Leon z podziwieniem się tu rozglądał jeszcze, gdy drzwi się otworzyły i w nich ukazała się panna Jadwiga. Na widok p. Leona zrazu się, przestraszona, cofnęła, potem, chwilę postawszy, niepewna co ma począć, weszła krokiem powolnym i poważnym do salonu.

Leon stał ze zdumieniem na twarzy niewypowiedzianem, milczący; nie chciał wierzyć oczom: w osobie p. Jadwigi poznał ową Justkę, o której chodziły teraz opowiadania, że, według wszelkiego podobieństwa, nie żyła już.

Utrzymywano, że w ucieczce zachorowała i w małej mieścinie gdzieś zmarła, pod cudzem się ukrywając nazwiskiem. Jakaś zapewne wcale inna nieszczęśliwa dola posłużyła do zmyślenia tej baśni.

Leon z początku słowa długo nie mógł przemówić.

— Być-że to może!—zawołał w końcu—pani tu! Justka, poważny wyraz twarzy nadała.

— Panie Leonie—rzekła—spodziewam się po dawnej jego życzliwości, iż mnie nie zdradzisz. Jestem tu spokojną; jest mi dobrze, pracuję—świat o mnie zapominał.

Dawne uczucie odezwało się w Leonie, który odparł wzruszony:

— Zastosuję się do woli jej, lecz pozwól pani powiedzieć sobie, iż przyjaciele mają prawo mieć żal wielki do niej; porzuciłaś pani nas, nie wiedząc nawet, że los jej żywo nas będzie niepokoił i obchodził!

Cośmy się nabiegali, naszukali, a p. Jolanta ile wylała łez! Długo spodziewano się powrotu.

Justka spuściła oczy.

— Lepiej nie mówmy o tej przeszłości—odezwała się—usiłowałam o niej zapomnieć, choć nie raz mi się serce ścisnęło.

Pan się ożenił?—dodała.

— Tak jest—odparł Leon kwaśno—matka moja wymagała tego po mnie.

— Nie wiesz pan co się z innymi mymi znajomymi i przyjaciółmi stało?—spytała.

— Jakto? pani nie masz wiadomości o ich losach?

— Żadnej!—szepnęła Justka.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z DZIEDZINY SZTUK PIĘKNYCH.

Obraz Brożika w Warszawie. — Nadzwyczajny ścisk i nadzwyczajne uwielbienie w publiczności. — Krytyka u Zenitu i u Nadyru. — Hus i scena na Soborze Konstancyjskim przed spaleniem. Pojęcie i wykonanie; kompozycja, koloryt; pędzel Brożika — Konkurs stanowczy na pomnik Mickiewicza w Krakowie. — Wrzawa i ruchawka. — Rozprawy i wyrok sądu konkursowego. Pomnik p. Dykasa na rysunku.

Czesi w tem rzeczywiście już narodowym i umysłowym odrodzeniu się swoim, do którego nieszczęścia Monarchii Habsburskiej przed 25 laty otworzyły wrota wszystkim takzwanym „ludom koronnym“, — wydają z siebie już nie tylko literaturę publicystyczną, niezmiernie obfitą i pożywną, nie tylko naukę coraz poważniejszą, nie tylko poezję, która we Vrehlickim po najwyższą już palmę sięgnąć może, ale i własną swą sztukę, malarstwo i rzeźbę. Sam przez się Brożik składa dowód żywotności i na to również pole wywartej. Jego wielki obraz, większy na powierzchni od „Grünwaldu“ Matejki, wymalowany w r. 1883: „Hus na koncylium konstancyjskim“, od sześciu tygodni ściga ciągle licznych widzów do sali Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych, a przez pierwsze tygodnie literalnie tłumami za-

pełniał, niewielkie zresztą, ciasne, źle oświetlone i niedogodne, miejsce. Ścisk tego warszawskiego miłośnictwa sztuk pięknych był tak niepamiętnym, jak niepamiętną zgodność w „och“ i „ach“, które dawano ujęcie wzebranym zachwytem. Krytyka, podobna do elektryczności, rozdzieliła się na dwa bieguny: dodatni i ujemny; jedni, jak professor Struve w *Kłosach*, wcale niedwuznacznie dali do zrozumienia, że Matejko mógłby przy Brożiku zgasnąć; inni, zwłaszcza p. Witkiewicz, sam malarz, a przytem straszliwie niemiłosierny krytyk krytyków warszawskich, bardzo ostro wyszamerował Brożikowskiego „Husa“. W ogóle pochwał było więcej niż nagan i więcej siły w pierwszych niż w drugich. Z ostrym swym głosem *Wędrowiec* dotychczas stoi samotny.

Brożik, jak się to stać było powinno w epoce odrodzenia narodowego, zwrócił się do przeszłości czeskiej i maluje obrazy monumentalne, przypominające Czechom dzisiejszym wielkie chwile dziejowe ich przodków. Tak wymalował „Wyrzucenie burmistrzów niemieckich z Ratusza Prazkiego“; tak przedstawił „Husa przed sądem koncylium w Konstancyi“—oba temata dla Czecha niezmiernie pociągające. Husa w świeckim porządku rzeczy otacza aureola męczeństwa, której nic już nie zgasi, bo też i męczeństwo jest faktem, któremu nic nie zaprzeczy. Błędem tylko historycznym jest zwalanie wyłącznej odpowiedzialności na ówczesną hierarchię, na *gladium spirituale*; potępienie było gromem rzuconym przez Kościół, ale śmierć była czynem spełnionym przez władzę świecką. Jakiegokolwiek podobki mogła mieć korporacja—a nie miała czystych, bo i sama czystą nie była—Kościół ze stanowiska swego interesu i prawa pozytywnego nie mógł nauk Husa nie potępić; ale władza świecka mogła nań śmierci nie wymierzać, mogła go od niej obronić, przedewszystkiem mogła go nie ściągać do Konstancyi, nie wywabiać z Czech, gdzie przy ówczesnym usposobieniu dworu i całego Narodu Czeskiego, zwłaszcza magnaterii i mieszczaństwa stołecznego, nigdy nie byłaby się przed nim przepaść śmierci otwarła. Powiedzmy to otwarcie, że mimo krzyków dziejopisarstwa konwencyonalnego, Hus padł raczej ofiarą ambicji politycznej Cesarza Zygmunta, aniżeli niesprawiedliwości i okrucieństwa Kościoła. Na pamiętnym posiedzeniu koncylium w d. 8 Czerwca 1415 r., pierwszy Zygmunt nasunął myśl ukarania herezjarchy śmiercią i groźnym słowem sięgnął nawet po Hieronima z Pragi. Zygmuntowski to glejt, poręczający bezpieczeństwo, wywołał w czystym, zapalonym człowieku dziecinną ufność w to, że na soborze odbędzie tylko dysputę teologiczną, a nie będzie potrzebował głowy swej bronić. Zygmunt tego żelaznego listu nie wahał się pogwałcić, bo dla politycznych rachub swoich potrzebował Rzymu i Kościoła. Stanowczym argumentem, którym do niego przemówił jeden z trzech urzędowych oskarżycieli, Piotr d'Ailly, było to, że w herezy Husa przeciwko Kościołowi legnie się rewolucja przeciwko władzy świeckiej—w czem się też nie pomylił. Oprócz polityki winnym jest śmierci Husa powszechny fanatyzm, który zarówno Kościół, jak i społeczeństwo świeckie płomieniem swym ogarniał; winną jest ciemnota w urządzeniu stosunku państwa do Kościoła; winnym wiek XV-ty, że nie był takim, jakim jest dziewiętnasty na Zachodzie Europy—winne to, co i dziś jeszcze ustawicznie grzeszy: zwierzęca natura człowieka, nieszanująca myśli, uczuć i samego życia ludzkiego.

Nawet filozofia ówczesna nie jest wolną od winy: i ona także przyczyniła się Husowi do śmierci. Nominaliści francuzcy na soborze po rozwianiu prochów męczeńskich przechwalali się, że śmierć tego Realisty ich jest zasługą. I takie dzieła takiej filozofii niech nas bezwzględnie nie oburzają. *Nil admirari*; i my nie lepsi. Miał wiek XV Gersonów i D'Aillych; ma wiek XIX Hartmanów i wielu, wielu innych. A czemże są zasługi Nominalistów Soboru, wobec zasług bezwiednika Hartmana? Nie paradujmy zanafto z postępem oświaty i wiedzy. Ilekroć człowiek w bliźnim nie uzna człowieka, istoty żyjącej prawem własnym, ale rzecz, myśl, fakt, siłę sobie

wrogą—tylekroć popełni gwałt, taksamo w wieku oświaty, jak w wieku ciemnoty. W ludzkości terytoryalnie średniowiecznej jest dziś lepiej niż było przed wiekami; mnóżyto dziś mamy w literaturze i nauce Wiklefów, Husów, Hieronimów, a nikt ich na stosie nie pali: siedzą spokojnie i piszą—państwo bowiem zrozumiało, że obowiązkiem jego nie jest policzyć sumień. Jedyna to prawda poważna wiedzą, rozsądnem a wszechstronnem dostrzeganiem obronić się dająca. Niesłuchanie łatwo piorunować, bo jak scena tak literatura posiada umysłne maszyny do wyrabiania grzmotów; ale tylko trzeźwa rozważa prowadzi do prawdy, tylko skromne o sobie rozumienie daje pewność wyższości: a dziś gromy na dawne wieki rzuca raczej pycha osobista epoki, niż rozważny sąd, przy chłodnem porównaniu warunków życia dzisiejszych z dawniejszymi wydawany. Młodzieńszkom należałoby zostawić wiarę, że oświata sama przez się wytwarza dobro i doskonali stosunki ludzkie. Dzieje wołają na to: „Kłam, kłam i jakożywo kłam“. Oświata bez moralności jest trupem, a moralność bez miłości bliźniego—marą.

Hus jest jedną z najwspanialszych postaci, jakie przedstawia historia walk umysłowych ludzkości. Prawdziwy-to bohater duchowy, co się nie ogląda na żadne względy, ale nie gwałci też niczyich praw, nie targa się na żadną osobistość, nie ceni wcale siebie: poświęca się i tonie cały w swej myśli; przez nią działa, nią żyje, dla niej umiera. W człowieku tym nie było cienia egoizmu, pychy, ambicji. Niczego dla siebie nie chciał, wszystko dla wszystkich oddał był gotów i oddał też najkardynalniejsze dobro ludzkie—życie. Nic go nie mogło zwrócić z drogi, na którą raz wszedł. W swej wierze, w herezyi swojej, był fanatykiem czystym, ślepym, bezinteresownym. Na stosie wyciągał jeszcze ręce do Chrystusa z czystej miłości ku niemu, bez drgnienia troski o siebie. Ziemia nie piękniejszego pokazać nie może nad takie bohaterstwo myśli. Pięknym też jest człowiekiem ten Hus—i słusznie się nim Czesi szczycą, jako doskonałą, przeczystą formą człowieczeństwa.

Dnia 6 Lipca 1415 roku kryształowego tego ducha oddano płomieniom na pożarcie. Z samego rana, jeszcze przed wschodem słońca, przyciągnął Biskup Ryzki przed klasztor mnichów bosych w Konstancyi i wywlókł więźnia na Sobór. Miano mu tu ogłosić wyrok, przygotowany w dwuistym brzmieniu: jeśli odwoła, miecza świeckiego uniknie; jeśli się uprze, pójdzie pod miecz. Arcybiskup Gnieźnieński, Mikołaj Trąba, jeden z przewodniczących na tem koncylium, które ciągnęło się aż cztery lata, od 1414 do 1418, odparł mszę. Przez ten czas Hus stał na cmentarzu katedralnym, jako niegodny. Po mszy dopiero wpraw adzono heretyka. Odczytano oskarżenia, nie obejmując niemi wszakże najważniejszych, bo dogmatycznych, nauk reformatora. Zaprzeczenie, z jakim wystąpił Hus, formalnie w żadnym sądzie ziemskim nie zapewniłoby mu niewinności, główne bowiem punkta przyjął na siebie. Nie było rady: wyrok zapasć musiał. Wówczas jeden z biskupów zawołał: „Polecamy duszę twoją dyabłu“, na co Hus: „A ja polecam ją Chrystusowi“. Ubrano skazanego w szaty kapłańskie, aby go z z nich zaraz rozebrać; siedmiu biskupów dopełniło uroczystej ceremonii potępienia. Włożono Husowi na głowę wysoką czapkę z trzema wymalowanymi dyabłami i napisem „Heretyk“. Ta czapka—to przedziwny symbol wieku i jego fanatyzmu. Rozpoczął się pochód na miejsce stracenia. Na cmentarzu kościelnym palono pisma potępione. Przy wyjściu porwali Husa pacholkiwie księcia Ludwika Bawarskiego, któremu Cesarz Zygmunt zlecił był jeszcze w Czerwcu wykonanie wówczas już wydanego wyroku śmierci. W wielkiej processyi ruszono na jedną z wyseppek Jeziora Konstancyjskiego, gdzie już przygotowany był stos. Wszystko, co żyło, zbiegło się na widowisko; było i wiele serc współczujących. Ogień już gorzał, a słońce jeszcze na pogodne niebo nie wschodziło. Sześciu sznurami przykrepowali oprawcy człowieka, na którego jednej niteczki nawet nie było potrzeba. Katsam zwrócił był oblicze skazanego ku Wschodowi; ale Hus nie był już godzien nawet jednego słońca promienia: nakazano go więc przewiązać

w inną stronę. Wtedy dopiero podłożyli ogień pod stos. Z płomieni sterczały długo jeszcze ręce ku Chrystusowi wyciągnięte, dopóki niemilosierny żywioł zadania swego nie spełnił. Wtedy przekonano się, że męczeństwo nie odbyło się *lege artis*, bo górna połowa ciała była zaledwie zwęgloną; dodano zatem świeżego ognia, aby ją w popiół zupełnie zamienić. Serce wyrwał jakiś oprawca, nadział na spisę i upiekł przy ogniu. Popiół zebrano starannie i wysypano w Ren. Chrześcijaństwo było ocalone!

Na pewne powiedzieć nie można, który moment z rozpraw sądowych koncylium zamierzył Brożik przedstawić w obrazie; zdaje się, że chwilę już stanowiąc. To „zdaje się“ z naszego punktu widzenia wskazuje, że kompozycja sama dość stanowczą nie jest, że brak jej silnej charakterystyki faktycznej, że nie poczęła się w głębokim odczuciu tej rzeczywistości, którą pędził wskrzesić usiłował. Historyczny rumieniec Zygmunta przemawia przeciwko posiedzeniu z d. 6 Lipca; może on tylko charakteryzować scenę z d. 8 Czerwca, kiedy rzeczywiście Hus, zwracając się do cesarza, przypomniał mu ów list żelazny, na który gołębia jego niewinność tak łatwo złapać się dała. Niezupełnie też domniemaniu sceny z dnia 6 Lipca odpowiada dziwnie banalnie zacięta twarz Piotra d'Ailly, który przecież w krótkich rozprawach tego dnia nader ostro a niewątpliwie przeciwko Husowi wystąpił. Za domysłem znowu powyższym przemawia stosunek, w jakim biskup czytający papier znajduje się do Husa, dalej wywieszenie szat kapłańskich na umyślnym stole, a wreszcie wypełnienie kościoła tłumem, który podczas właściwych rozpraw koncylium wstępu-by tam mieć nie mógł. Widownią wypadku jest bazylika w Konstancji, azali na obrazie historyczna w swej budowie, o tem—sądząc z Kuglera, wątpić-by można. I poranek przed wschodem słońca niezupełnie jest porannym w tych murach: słońce posyła już obrazowi z góry swe światło. Na podwyższeniu, pod baldachimem, drzemie jakiś przydujący starzec—ma to być Brogni; miejsce poprzód nim, ku widzowi, zajmują dwaj sędziowie heretyka; najbliższe siedzi purpurowy D'Ailly, zanim, zielony w szatach a czerwono mięsisty na obliczu, Arcybiskup Medyolański, po nich wreszcie strzela w górę w białej jedwabnej ozdoby cienki wychudły, wynędzniały, ale z obliczem mocnym, jakiś biskup czytający prawdopodobnie wyrok. Naprzeciwko niego w odległości kilku łokci stoi bokiem do widza Hus: czarna, smągła postać, przepasana rzemieniem; twarz żółta, wymęczona więzieniem, rys piękny, ascetyczny; w wyrazie podniesionego w górę oka szczere uczucie religijne, ale też i zupełna już bierność życiowa. Głęb' prawej strony obrazu uzupełnia cesarz Zigmunt, siedzący na tronie w ornacie cesarskim, z koroną na głowie, a rumieńcem na obliczu. Pomiędzy sędziami, cesarzem, a Husem, i dalej, aż do dolnego krańca obrazu, miejsce puste, posadzka kościoła i stopnie podwyższeń z odpowiednim, wielce powabnym światłocieniem. Po lewej stronie, za Husem, najpierw stół z utensyliami kapłańskimi, potem sekretarz z księgą, dalej przyglądający się biskup, w głębi jakiś ksiądz w komży i czerni ciekawych. Na przodzie, ku brzegowi lewemu, dwaj panowie czescy, przyjaciele Husa, na samem brzegu wreszcie Stefan Palec, niegdyś oskarżyciel—Judasz tej epopei męczeńskiej—wobec natury przestępstwa i treści wyroku postać zupełnie podrzędna.

(Dokończenie nastąpi).

GENERAL GORDON

(Korrespondencja jego z siostrą).

(Dalszy ciąg).

Niewymownie wzruszającym, niewymownie pięknym jest stosunek Gordona do siostry. Jest to

jedyna postać kobiety, ukazująca się na widowni jego życia, ale często uwielbiana kochanka, na ręku noszona żona, nie dostaje tego, co ona: tego zaufania, tego wynętrzenia się duszy—szczeroci uczucia tak zupełnej, że brat może jej mówić o sobie wszystko, złe i dobre, może się przed nią ganić, może się przed nią chwalić, odkrywać jej spokojnie głębi' swoje aż do dna, jakgdyby było to jego ja drugie. Mieć taką zaufaną istotę, taką bratnią duszę na ziemi, jest to posiadać, co miłość może dać najlepszemu: i dla tego też Gordon nie może być uważanym za człowieka, który samotnie szedł przez życie. On sam zdaje się tak czuć, bo raz po raz powtarza się w jego listach: „twój brat był smutny“, „twój brat był wesoly“, „był godny pożałowania“, „był pełen dumy“. Co znaczy, że wierzył w odczuwanie przez drugie serce tego, co działo się w jego własnym. Ztąd też niema w nim nigdy owej melancholii, napadającej ludzi choćby najmocniejszego ducha, gdy są zostawieni o własnej sile serca, niemogącego przelać się w serce drugie, i jego filozofia życia jest jasna i spokojna: „Nasza to wina, jeżeli nie możemy nigdy czuć się zadowolonymi—pisze do siostry zaraz w pierwszym roku swego pobytu w Afryce.—„Tracimy najpiękniejsze lata naszego istnienia, wyczekując chwili, niemającej nigdy nadejść, w której czuliśmy się zadowolonymi z tego, co posiadamy, gdy tymczasem tajemnica prawdziwego szczęścia polega na cieszeniu się tem, co już mamy. Jest to rzecz niewątpliwa, że moral ten był nam głoszony od wieków, przecież od wieków nikt nie słuchał tego nakazu. Sami wywołujemy sobie widma, a gdy zdołamy zekląć jedno z nich, przywołujemy zaraz w to miejsce drugie, i tak ciągle. Przyznam ci się, że nie mogę znieść położenia skarg ludzkich, i sądzę, że więcej szczęścia panuje wpośród tych biednych Murzynów, niż między nami, szczególnie w klassach średnio zarobkowych. Murzyn jest kontent, gdy posiada garść prosa na zadowolenie głodu; nie ma on łachmana na okrycie grzbietu, ale cały dzień nie udręcza się tak, jak nasi ziomkowie, przez swoje nędzne obiady ceremonialne, przez swoje wizyty, przyjęcia, fałszywą wesołość, wydrażoną i pustą wewnątrz! Posiadając jedno, pragną drugiego i czy nie byłoby lepiej nauczyć każde z dzieci jakiegoś rzemiosła, niż pozwolić im, aby naśladowczo wiodły smutne życie rodziców swoich?“

„Dałem ci książkę Watsona: *O zadowoleniu*; jest to prawdziwy przewodnik, za którym idąc, można dojść do szczęścia przez stosowanie się do woli Bożej, jakakolwiek ona jest.“

On sam tak czyni. Gdy sroga konieczność przymusza go ścigać, karać, wydawać mordercze walki złym, człowiek ten uczuć tkliwych umie sobie wyszukiwać dla nich zadowolenia, nietylko w tem, że działa dla idei dobra, że to dobro przyniesie tysiącom, które korzystać będą z nowego stanu rzeczy, ale pełni je na osobisty rachunek swego serca, które ogrzewa sobie, zapełnia w sposób uszczęśliwiający i broniący od uczucia pustki i smutków osamotnienia. Opisuje siostrze jak zbiera i przygarnia biedne stare Murzynki: „twoje czarne siostry a także i moje“, jak zbiera i wspomaga opuszczone dzieci murzyńskie, z których dwie, małych Szyluków chowa przy sobie kupiwszy je za trochę sorgo (dhura) i w wielu listach z pierwszych czasów jego pobytu w Afryce, są o nich wzmianki rozmaite, raz naprzykład, jak śmiały się z czegoś komicznego, co się zdarzyło w jego otoczeniu domowym. Z Murzynkami historye są odmiennego rodzaju. Jedna „kości i skóra“ była przedmiotem osobistych jego starań, aby ją „postawić na nogi“, przecież umarła mu w miesiąc. „Umarła spokojnie i teraz wie już wszystko“—pisze do siostry:—„Miała do końca tytuń i była wciąż bardzo łagodna.“

Umarła i „co za zmiana w jej istnieniu!“ Niemniej miała ona tak dobrze do zajmowania na świecie miejsce swoje, jak królowa Elżbieta.“

Drugą starą czarną siostrę swoją znalazł wśród burzy. Była „tak lekkim zbiorem kości, że wiatr mógł ją unieść“ wołała więc położyć się na drodze i potoki deszczu zalewały ją. Kazał ją podnieść, dał jej trochę sorgo, aby „zapalić iskierkę radości w tych czarnych, z ciała obranych kościach“, kazał swemu Niemcowi umieścić ją w cha-

cie znajdującej się w pobliżu jego chaty; a gdy potem znowu znalazła się w potopie wody, poił ją wódką, kazał jej obmyć oczy z błota i miał widac chęć mieć ją zawsze przy sobie, bo pisze do siostry, że spodziewa się, a nawet jest pewnym, że ta ich siostra czarna opowiadać jej będzie o Afryce.

Dzieci coraz-to znajdował i zbierał, zajmował się ich losem, jak najtkliwsza kobieta; opisuje, jak wstaje do nich w nocy, gdy krzyczą, jak chciwie piją mleko, jak roczne dziecko murzyńskie ma siłę trzyletniego Europejczyka i niema w nim nic tej ogólnej pogardy białych dla ras kolorowych, traktowanych też zwykłe jak zwierzęta. Kocha ich bratnią miłością bliźniego, która się rozciąga u niego do wszystkich ludzi, do ludzkości całej. Ta podniosła filozofia, która każe mu uważać, że Murzynka z pokolenia Szyluków miała tak dobrze, jak królowa Elżbieta, jakieś swoje miejsce na świecie, musiała go doprowadzić w następstwie do przekonania, że każde stworzenie ludzkie ma równie swoje prawo do pewnego szczęścia, do pewnego używania przywilejów ludzkości. Podobne są jego przekonania religijne: tak niezmiernie pobożny, posiada niemniej wysokie uczucie tolerancji i żąda tylko od ludzi religijności, nie jedynie w jego wyznaniu, ale ogólnie, w wierze religijnej. Chrześcijaństwo pojętem jest u niego przez stan ducha podniesiony nad materializm, obojętność uczuć i poglądów idealnych, nad lichy konwencyonalizm; pisze też do siostry:—„Wyrażasz się o religii muzułmańskiej z pogardą, która mnie zadziwia. Znajdują się muzułmanie, tak dobrze chrześcijańscy, jak wielu chrześcijan i nie sądzę, aby ich zbawienie podlegało kwestyi. Czy nie jesteście mniej więcej poganami? Czyś czytała: *Chrześcijaństwo nowożytne jest tylko cywilizowanym pogaństwem?* Byłem tego zdania o wiele dawniej, zanim czytałem to dzieło. Lubię muzułmanina: nie wstydzisz się swego Boga i życie jego, gdy jest czyste, jest tak czyste, jak innych.“

„Nasz chrystyanizm bieżącej chwili czasu jest według mego pojęcia rzeczą bładą i bez smaku, niesłuchaną nikomu na nic. W głębi rzeczy Angliki cenią nadewszystko obiad swój i bardzo rzadko kto, wierząc mi, przykłada wyższy interes do rzeczy.“

Znać siostra czyniła mu wyrzuty, lub dawała rady, bo pisze raz do niej z zapalem:—„Dałbym z radością pięćset pistoletów, gdybyś ty, i wszyscy członkowie *Przeciwniewolniczego towarzystwa*, znajdowali się w Dara przez owe trzy dni niepewności: czy handlarze niewolników uderzą na nas lub nie? Twierdzą bardzo licha, załoga bez ducha, ani jednego człowieka, któryby nie drżał, a przed nami wojsko (handlarzy niewolników było 6000) doskonałe, złożone z ludzi zaprawionych do boju i zdecydowanych na wszystko, wybornych strzelców: posiadających dwa lizala. Chciałbym wiedzieć, co byście mówili wtedy? Nie dla tego to piszę, abym się wynosił; Bóg wie jaką była wtedy moja niespokojność, nie o moje życie, bo umarły już jestem od lat wielu dla wszelkich dóbr tego świata, dla przyjemności, dla wspaniałości, zaszczytów, ale o trzodę moję w Darfurze i innych miejscach, którą pasę. Nie wierzę ja w żadnego z was: mówicie to i owo, ale nie wierzę wam. Dajecie pieniądze i uważacie, że już powiuność wasza spełniona, chwalicie jedni drugich. Ale nie dziwię się temu: macie więzy ziasne, które was przywiązują do ziemi, żony, dzieci. Dziękuję Bogu, że nie mam tego i zem wolny jest!“

Tu rozacza szeroko swój plan postępowania, wołając namiętnie:—„Uczynię, co mi się podoba, i co Bóg mój w miłosierdziu swoim na myśl mi nasunie!“ Lecz zakończy: „Serce moje pękło, gdyby mi odebrano dowództwo... Czegóżbym przecież żałował? Czy nieskończonych podróży na grzbiecie wielbłąda, upału, wiekniatego wiodu cierpień ludzkich i mojej nędzy osobistej? Oóż ja czynię od siedmiu miesięcy: przebywam na wielbłądzie tysiące mil, bez nadziei odpoczynku, choćby przynajmniej za rok. Wy inni tylko w pewnych odstępach czasu potrzebujecie przyzywać Opatrzności Boskiej, a ja o każdej minucie dnia i nocy. Was spotyka tylko przy-

padkowo taka wielka próba, jak choroba dziecka, i wtedy już czucie, przypadkowo też, waszą słabość i ograniczoną siłę waszych, a ja żyję w ucisku ciągłym. Ciało się buntuje przeciw temu ciąglemu przywoływaniu ratunku od Boga, jest to dla niego wysilenie ciężkie i ruiniuje się ono, zdolność odżywiania się zanika. Znajdzie człowieka—a wezmę go do pomocy—człowieka, któryby gardził zupełnie pieniędzmi, sławą, zaszczytami, opinią—człowieka, któryby nie pragnął powrotu do ojczyzny swojej, któryby uważał Boga za źródło dobra i kontrolera złego, miał zdrowe ciało i energicznego ducha, któryby widział w śmierci uwolnienie od nędzy. Jeżeli go nie znajdziecie, człowieka takiego, to zostawcie mnie w pokoju. Dość mi na tem, że dźwigam samego siebie i nie chcę żadnego ciężaru więcej.“

Namiętna jego natura wybuchła w tych słowach gorących, które były wykrzykiem dumy jego ducha, buntem podniesionym przeciwko mądrości światowej, były zarazem głosem jego miłości dla tej sprawy dobra, dla którego cierpiał, poświęcał się, znosił nadludzkie prawie trudy. Awanturnicy zbiegają świat, szukając łupu, szukając zdobywcy; entuzjastów pcha naprzód miłość wielkiej idei, miłość sprawy szlachetnej, i takim był Gordon. Serce jego—by pękło... A jednak tak się stało, ale to przyjdzie z kolei. Tymczasem kedyw Izmael, nie pojmując tej natury, widzi w nim tylko znakomitego żołnierza i wybornego urzędnika, więc w finansowych kłopotach swoich przyzywa Gordona do Egiptu. Jechał z ogromnymi honorami, przybywał specjalnym pociągami kolei, mając w kieszeni telegram, w którym Izmael basza zaprasza go do siebie, na paradny obiad o godzinie 8-ej. Pociąg przybył o 9-ej, ale oczekiwano go na stacyi i zakurzonego, „brudnego“ jak się wyraża; w sukniach podróżnych zawieszono go wprost do pałacu vice-króla na ów obiad, z którym czekano na niego półtorej godziny. Posadzono go po prawej ręce kedywa, potem odwieziono do pałacu, w którym zamieszkiwał książę Walii za swego pobytu w Egipcie, którego ostatnim mieszkańcem był prezydent Stanów Zjednoczonych. Pałac ów błyszczał cały od zwierciadeł, wielkiej iluminacji i officerów służbowych. „Honory mnie przygniatają“, pisał do siostry d. 4 Marca; powtarza to jeszcze d. 15; że przecież nie mógł dać rady temu, na co rady nie było, a głównie, że nie umiał milczeć, nie umiał szczególnie słów dobierać i naginać się do wymagania kamarylli dworskiej — że „często bywały sprzeczki“ między vice-królem a nim, co do ludzi, którzy mieli zasiadać w tej Izbie Obrachunkowej, której on byłby uaczelnikiem; nagle następuje zmiana i Gordon dnia 22 Marca pisze: „Kedyw w ostatniej chwili opuścił mnie zupełnie“. Odjeżdża też zaraz z Kairu bez żadnej już parady, pociągami zwyczajnym, płacąc swoje miejsce jak każdy prosty śmiertelnik z własnej kieszeni, a cała droga wraz z podarkami starożytnych zbroi, które kupił dla kedywa, kosztowała go ogromną sumę 800 funtów, z niewątpliwym dodatkiem niemiłego uczucia rozczarowania, którego doznał, doznać musiał, ale które nie było ani gwałtowne, ani nawet silne bardzo, i wyrażało się jedynie w lekkiej, bynajmniej nie zgryźliwej ironii i politowaniu, nieco pogardliwym, tej małości ludzkiej, która tu wejrzała do niego. Z powrotem do Beled-es-Sudan (bezgraniczny kraj czarnych) staje się znowu takim, jakim był, porywa go dawny zapal dla dobrej sprawy, od Lipca 1878 do Marca 1879 roku pochwylił 63 karawan, pędzonych na targ murzynów-niewolników, ale to, co on zrobi jedną stroną, odrabia się drugą; urzędnicy kedywa, officerowie wojsk egipskich, wszystko raczej przeciw-działa, niż pomaga mu; otoczony jest chytrem, chciwym, przewrotnym tłumem i napadają go coraz cięższe chwile zniechęcenia. Opisując siostrze w d. 31 Marca pochwylenie partyi niewolników, pisze:—„Oświadczam ci, że gdyby położyło to kres temu ohydному handlowi, zgodziłbym się chętnie na śmierć zaraz dziś w wieczór; widzisz więc jak gorąco pragnę tego, ale mimo wszystkich moich starań nie widzę środka na to“. W tymsamym liście wyraża chęć usunięcia się z wielkorządztwa całego Sudanu, a niemogąc rzą-

dzić nim w sposób zadawalający, chce zostać tylko gubernatorem części zachodniej i wtedy-to zgniecie na miejscu hydrę. „Powiedzą mi, że to piękna sprawa, której warto oddać życie! Tak gdyby to tylko śmierć ta przysłała prędko, ale niestety! śmierć to być musi powolna, nużąca i w tej chwili nie mogę jeszcze zajrzeć jej oko w oko“.

Żądają przytem z Egiptu nadesłania pieniędzy, a tu wojsko nie miało wypłaconego żołdu za 15 miesięcy, bo zabrano mu 12.000 funtów, których powinien był użyć na ten cel: — „Na szczęście mam tu tylko same czarne damy—zakochażka ironicznie — bo biedne te dyabły są gołe, jak moja ręka“.

Już w 1876 roku były na niego podobne wątpliwości i zniechęcenia, ale jeszcze inaczej podnosił się ponad nie duchem, jak świadczy w dziele Birbeck Hill przytoczony list do przyjaciela C.: „Niejaki p. Komfort, gentleman bardzo despotyczny, mówi mi: — Jesteś waspan zdrów, zrobiłeś już dość na świecie, wracaj zatem do domu, trzymaj się cicho i nie ryzykuj się więcej... Pani Rozsądek—odzywa się z kolei:—Na co ci zdobywać więcej krain, dla tego smutnego rządu? Ma on więcej ziemi, niż zarządzać niemi potrafi: ruszaj więc ztąd coprędzej, bo niemasz tu co robić... Ale jest p. Ktoś, nie wiem kto to taki, który tak mi dowodzi: — Nie usiłuj odgadywać tajemnic przyszłości; staranie o to zostaw Bogu i pełń nakazany ci obowiązek: otwieraj głębię tych pustyni — nie dla kedywa i jego rządów, ale przez akt wiary na ślepo“. Obecnie jednak już mu coraz trudniej utrzymywać się na tej wysokości uczucia, aż nagle nadchodzi nowa katastrofa: Izmael basza abdykuje na rzecz syna Tewfika, i Gordon basza podaje się do dymisji, którą mu daje chętnie, jakkolwiek zachowując łaskawość dla ceremonii. Przed odjazdem Gordon jeszcze podejmuje się misji politycznej do Abissynii, znosi tam wiele trudów, niebezpieczeństw, jest więzieniem prawie; w 1880 r. wsiada w Alexandrii na parowiec płynący do Europy i zostawia poza sobą niegościnną ziemię Afryki nie przeczując może, iż wróci tam raz jeszcze, aby przeciw nigdy już jej nie opuścić.

Jako szczegół ważny, rzucający potrzebne światło na afrykańską epopeję Gordona baszy, trzeba dodać, że przybywającemu ofiarował kedyw Izmael pensyi rocznej 10.000 fun. (100.000 rub. sr.), on przeciw przyjął tylko 2.000 funtów, i opuszczając Egipt, mógł powtórzyć słowa wyrzeczone przy wyjeździe z Chin: — „Wracam tak ubogi, jak ubogim tu przybyłem“.

(Dokończenie nastąpi).

NOWINY PARYZKIE

Paryż, w Lutym 1885 r.

Wystawy artystyczne cząstkowe. — Wystawa przy placu Vendôme, i doroczna Akwarelistów francuzkich. — Carolus Duran Meissonier. — Cypryan Godebski. — P. Detaille i jego akwarelle z Rossyi. Pani Lemaire. — Jeszcze p. Caro. — Charivari w Sorbonie. Śmierć i pogrzeb Valles'a. — Demonstracje burzliwe. — Niemieccy socjaliści i francuzcy studenci. — Mityng anarchistów na Placu Wielkiej Opery. — Rzeczywistość i Muzy. — Wiadomości teatralne. — Felix Piat i jego nowy dramat *Wyrobnik*. — 83-cia rocznica urodzin Wiktora Hugo. „*Sic vos non vobis*“. — Śmierć hrabiny Andrzezewej Mniszewej.

(Dokończenie).

Nowy tego przykład dał nam w tej chwili stary, zwierzyły konspirator, sławny Felix Piat, sławny szczególnie ze swych zaćmień na scenie politycznej. Ile razy, on i jego adoranci, znajdowali się w ostatecznych, trudnych okolicznościach—Felix Piat umiał kilku gorącymi słowami obudzić ducha, a pokrzepiwszy swoich moralnie, zniknął jak kamfora. Całe jego życie przeszło na tych dziwnych przemianach; dziś, stary, wynajduje najdziwniejsze demagogiczne rubryki, jak naprzykład: *Bez Boga i bez Pana*, jako tytuł

dziennika — ale widocznie, na wzór starych rzymskich augurów, sam w te rubryki nie wierzy.

Jako publicysta, dziennikarz, a nawet literat, ma on tę łatwość i tę jedrność pióra, która mu daje szanowane miejsce w piśmiennictwie francuzkiem. W młodszych latach próbował sił swoich na polu literatury dramatycznej. Jednym z dzieł, które miało pewne powodzenie, był dramat pod tytułem: *Galganierz* (le Chiffonnier), ale wówczas teatr nie przynosił tego, co dziś przynosi: Felix Piat więc, opisawszy wielką polityczną elipsę, wraca dziś do teatru *Ambigu* z nową sztuką, z melodramatem *Wyrobnik* (Homme de Peine). Jest to dramat starego stylu, coś jakby surdut z 1824 roku, w który się dzisiaj przystroił siwobrody konspirator; wygląda to dziwnie, choć widać na tem rękę dobrego majstra. Nie braknie tu zalet, ani stylu, ani efektu, ale w ogóle braknie młodości! A to jedno trudno już jest zdobyć: kiedy raz odleci, to bywaj—że! bywaj!

Po czterdziestu latach przerwy tedy Felix Piat powraca na scenę i przynosi dramat, w którym staje w obronie zarówno przedsiębiorcy jak wyrobnika, obu dotkniętych w dobrej sławie i rodzinnych uczuciach. Już samo założenie pokazuje, że stary Piat cały swój demagogiczny ryzsztunek zostawił w drodze. Każdy tu się spodziewał widzieć biedaka w kleszczach bogatego, ale nikt się nie domyślał, że Piat, Wielki Piat—wściekły, szalony Piat, będzie bronił miészczucha tłustego, „filistra“ potem ludu wykarmionego.

Ale pozwólcie mi w kilku słowach powiedzieć, jak się to założenie rozwija. Bohater sztuki—wyrobnik—zowie się Jacek Durand, od lat 30-tu służy w domu niejakego Gobourga, bogatego kupca drogich metali — co się tu zowie „Batteur d'or“. Dom ten, zamożny i stary, ma za firmę „Gobourg—Ojciec i Syn — i S-ka“. Jacek, jako stary sługa, używa też nieograniczonego zaufania w tym domu; do niego bowiem należy zamykanie magazynu i pracowni, po skończonej pracy robotników i pilnowanie drogiego kruszców, używanych w codziennej robocie.

Naraz pan Gobourg Ojciec spostrzega się, że deficyt na 500.000 franków okazał się w jego składzie, że braknie wielu sztab złota. Kradzież popełniana była powoli, częściowo, każdego dnia prawie. Kogóż tu o nią podejrzewać? Odpowiedź łatwa: Jacek Durand, jest wyłącznym dozorcą tych skarbów. Biedak, przerażony, wypiera się i zaklina na wszystkim, że się kradzieży nie dopuścił, ale zarazem zobowiązuje się w przeciągu dni ośmiu odkryć złoczyńcę i schwytać na gorącym uczynku.

Pan Gobourg propozycją Jacka przyjmuje, a ten sprawę tak zręcznie prowadzi, że w kilka dni, zapomocą samego p. Gobourga, łapie w noc złodzieja, który się do magazynu zakradł i fałszywym kluczem zamek od składu otworzył. Kiedy zeń zerwano przybraną odzież i maskę z twarzy, ku niezmiernemu zdziwieniu okazało się, że tym złodziejem był własny syn właściciela.

— „Nędzniku!—woła przerażony ojciec, — cóż cię mogło popchnąć do podobnego czynu i na coś potrzebował tych pieniędzy, któreś skradł w kassie stowarzyszenia?“ — „Potrzebowałem tych pieniędzy — odpowiada Gobourg Syn bezczelnie, patrząc ostro w oczy Jackowi — potrzebowałem ich na utrzymanie córki tego oto człowieka!“ Jakby piorunem rażony, Jacek pada pod gromem tych słów okrutnych.

Tak więc bogaty przedsiębiorca i biedny wyrobnik dotknięci są jednym ciosem: tamten ugodzony w swym synu, ten w swej córce, stoją dziś obaj równie biedni, równie nieszczęśliwi wobec straszliwego ciosu, który w nich ugodził.

Jest to sytuacja prawdziwie patetyczna, pojętna, wspianą, zrozumiana poludzku i w całej prawdzie, ale jest to i koniec naturalny dramatu. Tymczasem w sztuce jest to dopiero początek. Ztąd więc następuje osłabienie interressu całego dramatu i ciągle usterki kompozycji, z którymi autor musi walczyć, a walczyć na próżno.

Oto jest zresztą sposób, który wynalazł Piat, aby dzieło swe doprowadzić do końca. Stary Jacek, który, umieściwszy swą córkę w jednym z pierwszych magazynów mód w Paryżu, sądził

dotąd, że się ona i poczciwie prowadzi, zaczyna jej szukać i znajduje ją we wspianiem, bogatym mieszkaniu, które jej urządził kochanek. Zastaje ich wreszcie oboje i naturalnie że wyraża swój gniew i swe żale. Ale Gobourg Syn zatrzymuje go i zimno, stanowczo tak się odzywa do biednego ojca — dialog jest długi, daje go w treści: — „Niema potrzeby robić hałasu; to do niczego nas nie doprowadzi, chyba do skandalu. Ja żadnej odpowiedzialności za pieniądze się nie lękam. Prawo nie dozwala ścigać o złodziejstwo syna, który okradł ojca. Potrzeba jedynie, aby 500,000 były zwrócone do wspólnej kassy. Ja ich nie mam w tej chwili i mieć nie mogę, chyba żeniąc się bogato; w ten sposób ocalamy kassę, ale biedna Ludwika jest zgubioną. Gdyby przecież ktoś przyjął na siebie występki kradzieży, wówczas moja odpowiedzialność znika, i ja, jak to przyrzekłem Ludwice, żenię się z nią.”

Ojciec, Jacek Durand, zrozumiał cel tej przemowy młodego Gobourga i, aby ocalić swą córkę, przyznaje się na piśmie, że jest sprawcą kradzieży i wręcza ten cyrograf Ludwice, dodając: „Oto twój posag, oddasz go twemu mężowi w dzień waszego ślubu.”

Ale tego, co autor i stary Jacek uważali za rzecz naturalną w interesie sztuki, publiczność nie chciała potwierdzić swoim milczeniem i na pierwszym zaraz przedstawieniu, głośnie i szumne protestacje posypały się zewsząd. To powinno było przekonać autora, że jakkolwiek, ludzie i czasy są zepsute, jest jeszcze pewne sumienie i pewna delikatność, których nie wolno obrażać.

Po tym upadku chwilowym autor podnosi się znowu w następnych scenach. Stary Jacek wraca do swego uboższego mieszkania, do swojej żony i do drugiej młodszej córki, Janiny, które go czekają z wieczerną — i tam, rozżalony, obłąkany prawie, woła do tych biednych kobiet: — „Uciekajmy! uciekajmy ztąd natychmiast! Wy nie wiecie, czego się dopuścił stary Jacek Durand! Okradłem, okradłem p. Gobourga!”

Ale Franciszka, jego żona, patrzy mu śmiało w oczy, z tą surowością zacnej kobiety i matki: — „Powtórz-no mi to zaraz, tutaj oko w oko, powtórz mi to, żeś okradł Gobourga. Ty?! to fałsz! ty kłamiesz, powiadam ci!” I biedaczysko, zwalczony tą szczerością poczciwej żony, wyznaje wszystko i spowiada się ze swego poświęcenia dla uratowania Ludwika.

— „Zapewne, jest to zbrodnia — powiada wówczas Franciszka, ważąc to swoim prostym rozumem — Ty chciałeś ocalić swoją starszą córkę; dobrze; ale tyś nie miał prawa bezceścić tej oto, która jest cnotliwą, ani mnie, twej żony.”

Dalej już, coraz bardziej kulejąc, dramat kosztlawo bieży do końca. Naturalnie, czytelnicy wiedzą już sami, że niegodny złoczyńca Gobourg syn, ani się myśli żenić z Ludwiką, ale pragnie jej wydrzeć sławny ów cyrograf jej ojca, a kiedy ta nie chce mu wydać dowodu winy ojcowskiej, nikczemnik nie waha się jej zamordować.

Skracam następne sceny i akty, które nie mają już wartości żadnej po poprzednich przygodach. Przechodzimy więc do ostatniego aktu, i do sceny, kiedy młody Gobourg prowadzi układy o intercyzę, mając się żenić z niejaką panną Deligny, córką, czy siostrą głównego spółnika ich firmy handlowej. Deligny daje mu poznać bez ceremonii, że wie o wszystkim, i rzywa układy. Wówczas rozpacz i wyrzuty sumienia poruszają nędznika i w chwili, kiedy przychodzą, aby go przytrzymać jako zabójcę Ludwika — w łeb sobie strzela.

Jak łatwo zrozumieć z podanej tu treści, dramat ten, pomimo swych błędów, nie jest bez pewnych zalet. Należałoby, jak to powiadają, obrócić kota do góry nogami: zacząć od historii Ludwika i młodego Gobourga i po rozmaitych przejściach przenieść początkową scenę odkrycia złoczyńcy, na koniec, tak, aby po odpowiedzi Gobourga, że kradł na rzecz córki Jacka, ten go zabijał na miejscu, a sobie samemu życie odbierał. Przy talencie, rzecz dobrze ujęta, mogłaby mieć wielkie powodzenie.

Dziś dramat ten trzyma się jedynie nazwiskiem sławnego konspiratora. Ciekawość prowadzi ludzi. Uwryerzy, którzy spodziewali się tu zna-

leże wszystkie zasoby „Literatury Powstańczej“, odchodzą zdumieni i zniechęceni, widząc, jak stary apostoł ich sprawy staje prawie w obronie mieszczaństwa. Dziwna to rzecz, ta robota czasu, który w nas wszystko powoli rozkłada i niszczy. Jeden z dawnych przyjaciół, spotkawszy Piata przed wystawieniem zagadnął go: „A więc ryknie stary lew?“ — „Stare lwy — odrzekł mu smutnie Piat — zamiast ryczeć, mój bracie, jęczą i wzdychają tylko!“ — i prawdę powiedział.

Dnia 26 Lutego przyjaciele i wielbiciele Wiktora Hugo obchodzili solennie 83-ą rocznicę urodzin wielkiego poety. Dzienniki, jak *Gil-Blas* i *Figaro*, wydały umyślnie dodatkowe numery: jeden zamieścił podobiznę rozmaitych autografów z życzeniami itd., drugi z rysunkami i autografami samego Hugona ofiarował swoim czytelnikom, bardzo ciekawy kalendarz, składający się z efemerydów wyciągniętych z życia i dzieł poety. Każdy dzień roku przypomina datę, bądź jakiego dzieła, bądź jakiego wypadku. Myśl bardzo szczęśliwa; wykonał ją p. Ulbach, znany powieściopisarz, a jest to prawdziwie benedyktyńska praca. W tem wszystkim jednak, również jak w bankiecie, który pocie wyprawiono, widać więcej reklamy, niż prawdziwego uczucia miłości i uwielbienia serdecznego dla wielkiego poety. Każdy w ten sposób stara się małą swoją osobką wywindować na bary obrzyna i z tej wysokości przypomnieć się *urbi et orbi*.

Na tej drodze wydawcy paryżcy Lemonnyer i Richard zaszli o wiele dalej, niż inni, zawarłszy układ ze starym bardem — który, chociaż poeta, około swych interesów umie skrzętnie chodzić — układ mający na celu nowe wydanie dzieł mistrza, bardzo wytworne, bardzo kosztowne. Skorzystali z imienia, aby mu powinszować, a sobie urządzać księgarską poważną reklamę. W tym celu urządzili d. 25 Lutego bankiet, niby składkowy, a rzeczywiście swoim kosztem, na który zaproszono przeszło dwieście osób, wszelkiego rodzaju. Każdy z gości pod serwetą znalazł pierwszy zeszyt pierwszego tomu *Wspaniałej edycji*; dla wyróżnienia jej od innych ochrzczono ją nazwą — „narodowej.“ Jest to pewien rodzaj oficjalnego stempla, który, użyty po raz pierwszy, bije w oczy i pomoże do rozpowszechnienia prenumeraty. Nic zapomniano i o telegramach sensacyjnych. Jakis księgarz z prowincyi, zaproszony, jeden z tych, których oni tu nazywają „Compère“, do tutejszych wydawców zatelegrafował w następujący sposób: — „Życzenia serdeczne pocie — i prenumerata na dziesięć egzemplarzy.“ Zebrani huczniemi oklaskami okryli tak szlachetne wystąpienie zręcznego współnika zręczniejszego jeszcze kuglarzy.

A stary, osmdziesięcioletni poeta? Jest jak dąb silny i twardy, spokojnie i bez wzruszenia, przyjmuje najstraszniejsze machania kadzielnicą, chociaż wie dobrze, kto-to rozdmuchwał węgle, i kto nasypał kadzidła. W odpowiedzi na długie i często nudne przemowy odpowiada krótko i zwięźle.

Po długiej chorobie dnia 24 Lutego spoczęła w Bogu pani hrabina Andrzejowa Mniszchowa, z domu Potocka. Nieboszczka była jedynaczką córką hr. Leona Potockiego, syna Starosty Szczerzeckiego, Seweryna. Cicha i skromna, była wzorem uprzejmości i cnot domowych. Towarzystwo tu nasze traci w niej swoją ozdobę, a biedni i nieszczęśliwi zawsze otwartą rękę, na dobre uczynki. Smutny ten koniec osierocił dom w chwili właśnie, kiedy hrabia Andrzej mógł kosztować drogiego dla serca uznania, z jakim publiczność nasza w Krakowie przyjęła wystawę dzieł jego malarskich.

Kronika działalności kobiecej.

— D. 11 Marca odbyła się w Warszawie rzadka i bardzo miła uroczystość. P. Jadwiga Więckowska święciła w domu swej pierwszej uczen-

nicy, p. Br., 50-sięcioletni jubileusz nieprzerwanej pracy nauczycielskiej. Dnia 1 Marca 1835 r., młoda nauczycielka odbyła pierwszą lekcję z dziesięcioletnią uczennicą, swoją, której kształceniem zajmowała się lat siedm. Ogółem p. Jadwiga Więckowska przebywała w ciągu pół wiekowej swej pracy w 14 rodzinach, i wszędzie zostawiła po sobie najmiłsze wspomnienie, jak tego dowodzą spisane świadectwa, które posiada. Jeszcze dość silna, aby nie weterować w smutnej bezczynności, uczyła obecnie dwie wnuczki pierwszej swej uczennicy, w której domu też przebywa, jakkolwiek skromna w gustach i oszczędna zdołała zebrać sobie kapitał, zabezpieczający jej starość. Uroczystość była obchodzona w gronie 40 osób; połowę ich składały dawne uczennice jubilatki, które kolejno odzywały się do niej słowami czci i przywiązania, składając jej zarazem upominki. W końcu uwieczono głowę sędziwej wieńcem srebrnym, na którego liściach są wyrze nazwiska wszystkich jej uczennic, oraz dwie daty, zamykające okres jej pożytecznej działalności: rok 1835 i r. 1885.

— Panna Julia Jabłonowska nabyła w Rzymie od rzeźbiarza naszego, Brodzkiego, przepiękny, jak piszą dzienniki, posąg Chrystusa, ogłaszającego pokój ludziom dobrej woli. Posąg jest więcej, niż naturalnej wielkości, z ręką prawą wyciągniętą naprzód, gdy druga trzyma księgę; należy przypuścić, że spisane prawo miłości, obowiązku i poświęcenia, to jest Ewangelię. Oblicze jaśnieje wielką słodyczą, powagą i boskością; draperya szat powłokzystych spływa z klasyczną prostotą i całość, w szlachetnych tonie trzymana, jest tak święcie piękna, że pewna pani francuzka ujrawszy posąg, zawołała z oczyma łez pełnemi, że nigdy jeszcze nie widziała tak bosko świętego Chrystusa. Szkoda jednak, że to znakomite dzieło sztuki chrześcijańskiej nie będzie podobnie poruszać, pocieszać serc naszych, gdyż posąg, jak wieść dziennikarska niesie, jest przeznaczonym do jednego z kościołów paryżkich. Stara Habdankowska tradycja dorzucania złota do złota nie przerwała się u nas, tylko, na nieszczęście, nie świadczy ona w swych faktach ostatnich o miłości i dumie narodowej.

— W dniu 5 Marca odbyło się doroczne zebranie Zarządu Tanich Kuchni Warszawskich. W zarządzie tym nie spotykamy ani jednej kobiety, ani jedna kobieta nie weszła też w skład nowego zarządu, mającego działać w roku rozpoczętym. W sprawozdaniu zarządu, obejmującym historią Tanich Kuchni w Warszawie, znajdujemy wzmiankę, że gdy przed szesnastu laty dobroczynna ta instytucja zawiązana została, łudnie ubiegano się o współdziałanie w czynnościach, a w liczbie tak chętnych była większość pań. Wkrótce przecież zaszła zmiana; „gdy przesycono się nowością” szeregi filantropijne przeredziły się, aż wreszcie znikły zupełnie i trzeba było, obciążając budżet instytucji, której zaciężyły i tak podniesione ceny żywności i komornego, zreformować administracją wewnętrzną, przyjmując, na miejsce nieobecnych, officialistów płatnych. Na rok bieżący Zarząd Warszawskich Tanich Kuchni składa się z pp.: Józefa Lewandowskiego, Alexandra Łapińskiego, Mieczysława Pronaszki, Alexandra Feista, Edmunda Bobakowskiego, Jana Gautier, Gracyana Jeagera, Alfonsa Preyssa, Józefa Golembiowskiego, Metodyusza Puchalskiego, Władysława Niedźwiedzkiego. Nazwiska tych szlachetnie poczciwych przyjaciół ubożego, są prawie wciąż te same od zawiązania się w Warszawie Tanich Kuchni, które utrzymały się dzięki ich pracy, poświęceniu ich czasu, i nie rzadko ofiarom pieniężnym. Niema jednak między nimi, ani jednej kobiety!..

Ów brak żywiołu kobiecego sprawia zapewne, że kobiety stosunkowo bardzo mało korzystają z tej pożytecznej instytucji, i gdy w ciągu roku ubiegłego jadało przecięciowo w Tanich Kuchniach Warszawskich dziennie mężczyzn 503, kobiet tylko 80. Kobieta każda, a zwłaszcza młoda, jakich między pracownicami na chleb jest właśnie najwięcej, nie łatwo się decyduje wchodzić pomiędzy samych mężczyzn. Widok kobiety, przewodniczącej wydawaniom obiadów, ułatwiłby przystęp kobietom stołowniczkom, ośmielałby je

i usuwał niemiłe uczucie znajdowania się jak-gdyby nie na swoim miejscu.

— Między deputacjami, które w 60-letnią rocznicę urodzin swoich, przyjmował wysoce utalentowany i wiernie idei węgierskiego narodu służący pisarz, Maurycy Jokaj, znajdowała się i deputacja kobiet węgierskich. Dziękowały mu, że je rozumie w ich uczuciu miłości Węgier, że w dziełach swoich objawów tego uczucia na bok nie usuwa, że je podnosi i przez to w sercach młodych kobiet świętą iskrę utrzymuje i wzór dobrej obywatelki przed oczyma stawia.

— W Anglii zawiązało się „Ladies national Aid Association” z przeznaczeniem dobroczynnego działania w sprawie Egipsko-Sudańskiej przez zaopatrywanie angielskich żołnierzy lądowych i żeglarzy wysyłanych do Afryki w zapasy białej żywności, lekarstw i wogóle czynności mającej na celu dobrobyt tych, którzy tam gdzieś daleko będą walczyć za interessa Anglii. Zawiązał się już komitet pań, mający Florencyę Nightingale w gronie swoim, który obmyśli plan postępowania i środki działalności.

Kobiece odczyty naukowe w British Museum nie ustają. Miss Helena Beloe rozpoczęła drugą seryą wykładów o starożytnościach Egiptu. Miss Harryson miała trzy prelekcje „o marmurach Partenonu.” Prócz tego stowarzyszenie narodowe zdrowia „National Health Society” zaprosiło dwie panie, Mrs Priestley i miss Adę Bellin, aby wzięły udział w szeregu prelekcji wygłaszanych w semestrze zimowym w Muzeum Hygienicznym. Mrs Priestley wygłosi seryą odczytów, których przedmiotem będzie zdrowotność domu, a tytuł „Niewidzialny nieprzyjaciel.”

— Liczny już jest obecnie zastęp angielskich kobiet z tytułem i działalnością doktorów medycyny, ale dopiero 10 Stycznia bieżącego roku Irlandzkie kolegium chirurgii dopuściło kobiety do egzaminów, więc i do stopni otwierających kobiecie działalność chirurgiczną. Postanowienie to przeszło znaczną większością głosów: dwudziestu pięciu przeciw jedenastu. Dotychczas tylko amerykańskie uniwersytety i akademie lekarskie przypuszczały kobiety do studiów i egzaminów z chirurgii.

— Pierwszy raz kobieta została dopuszczona we Francji do studyowania prawa. Niewiadomego nam jeszcze nazwiska studentka zasiadła w tym roku na ławie paryzkiej „Ecole de Droit.”

— Róża Bonheur mimo ciężkich przepowiedni odzyskała zupełnie zdrowie i bawi obecnie w Nicei, gdzie zamierza wykończyć obraz naprzód zamówiony, a przed dziesięciu laty zaczęty, i nawet zapłacony z góry. Cena jego jest 300,000 franków.

— Panna Dosne, siostra i spadkobierczyni wdowy po Thiersie, założyła pod Paryżem w Passy dom, w którym 58 studentek, używających dobrego imienia, pomieszczenie i pomoc naukową znajduje.

— Między pomnikami, które Francja w przeciągu ostatnich lat dziesięciu wzniosła w znacznej liczbie pamięci zasłużonych krajowi ludzi i kobieta znalazła miejsce swoje. Oprócz licznych pomników Joanny d'Arc, oprócz pomnika wzniesionego Sand, jako genialnej pisarce, znajdują się dwa, które poświęcone zostały kobiecie francuskiej, jako obywatelce. Jednym jest pomnik w Belfortcie, wzniesiony jakoby dla uczczenia pamięci Thiersa i pułkownika Denfert, z których pierwszy nie chciał pod naciskiem żadnej grozy ustąpić Belfortu Niemcom, a drugi broniący go do ostatka, i niedający wejść tu nodze niemieckiej, rzecz tę umożliwił. Ale tak śmiały dyplomata, jak mężny rycerz, nie byłiby zdolni doprowadzić do

skutku zamiaru swego, gdyby ludność nie była pomogła im odpowiednio i rzeźbiarz Mercé, wyrażając to przez pomnik wzniesiony kosztem miasta na cześć dzielnej obrony Belfortu, pomieścił w grupie obrońców kobietę obok mężczyzny, jej nawet przyznając jakoby wyższe miejsce w enocie nieustraszonej wytrzymałością i niedającego zmódrzyć się ducha. Żołnierz pada od kuli nieprzyjacielskiej, jedna jego ręka bije powietrze, druga chwytając się za szatę kobiety, która podtrzymując go lewą, w prawej już dzierży jego karabin piękną, śmiała, wyzywająca, posyła wzrok w stronę strażników niemieckich, gotowa im odpowiedzieć. Kobieta nosi suknię ludową, na podstawie pomnika jest napis: „Quand mème.” *Biesiada* podała w N. 10 drzeworyt przedstawiający szlachetnie pięknym ten monument.

Na drugim krańcu Francji, u jej drugiej, angielskiej granicy, wzniesiony został w mieście nadmorskim Saint Omer, drugi pomnik poświęcony obronie narodowej, ale tu reprezentuje ją już w całości kobieta: Jakobina Robins. W 1716 r., gdy miasto zostało obleżone od strony lądu i morza przez dwie połączone armie: Eugeniusza Sabaudzkiego i angielskiego wodza Marlborough, amunicji zaczęło Francuzom brakować i musiano by się poddać, gdyby nie bohaterska kobieta prosto rybaczką, która stawiała się przed władzę obrony miejskiej z propozycją, że przekradnie się w łódeczce maleńkiej przez straż nieprzyjacielskie i puściwszy się do Dunkierki, przywiezie ładunek brakującego prochu. Jak rzekła, tak uczyniła: wśród nocy, w czasie groźnym zapowiadającej się burzy, gdy straż były najmniej czujne, śmiała żeglarka wypłynęła na fale morskie, jakgdyby w łupinie orzechowej, i wróciła w noc drugą, wioząc ze sobą proch w baryłkach, ukrytych pod rzuconym na nie szmatem starej odzieży. I powtórzyła to kilkakrotnie, zaopatrując miasto w środek obrony, aż do czasu, gdy nadeszła pomoc i obleżenie zniesionem zostało. Bohaterka przedstawiona została przez rzeźbiarza, rodem też z Saint Omer, Edwarda Lormier, w postaci dumnie stojącej na odłamie skały. Ubrana jak bretońska wieśniaczka z okolic nadbrzeżnych, w gorsecie sznurowanym, z białym zarzuconiem na głowie, stoi z wysuniętą nieco naprzód nogą prawą, lewą ręką opartą o jakiś słup, jakgdyby od kotwicy. Pomnik ten został odsłonięty 16 Czerwca roku zeszłego, a wznosi się na obszernej placu Vainquai, przed ratuszem.

— Przed trzydziestu laty zebrało się w Hamburgu kółko kobiet dobroczynnych, z celem wspomagania starych, a ucziwych i spracowanych służących, oraz starych ubogich panien z klas

wyższych. Zbierano datki jak było można, i po upływie roku zdołano wspomóc 5 osób, dając każdej sumkę odpowiadającą wartości dzisiejszej 25 marek. Powoli przybywało zgromadzeniu członków, zawiązano już publicznie towarzystwo, które w roku ubiegłym płaciło 100 starym pannom, tak z klasy wyższej, jak zestarzałych sług, pensją wynoszącą sto marek, a wypłacaną półrocznie. Przytem na święta Bożego Narodzenia obdarowano 80 niezamożnych sędziwych panien starych, dając każdej 20 marek, i 50, którym dano po 12 marek z zapewnieniem, że dar ten będzie je stale dochodził, jako zapomoga na odzież zimową. Przez cały ten czas pieniądze zbierały się przeważnie za roboty ręczne pań stowarzyszonych, które je na ten cel spieniężały, dopiero w roku bieżącym towarzystwo zostało wzbogacone przez znaczny zapis 52,000 marek, od których procent ma iść na wspomnienie starych i ubogich panien, które już pracować nie mogą, a które używały zawsze dobrej sławy nieskazanych obyczajów. Warunek ten stanowi również o wszystkich datkach stowarzyszenia. Na jego wzór założono podobne w Dreźnie.

— Cesarzowa Niemiecka ogłosiła konkurs z 5,000 marek nagrody i złotym medalem za najlepszy przenośny barak lazaretowy. Stowarzyszenie Czerwonego Krzyża zajmuje się wykonaniem myśli Cesarzowej Augusty.

OD WYDAWCY.

„Bluszcz” w przyszłym kwartale wychodzić będzie pod dotychczasową redakcją.

Szanownym prenumeratom z prowincji przypominamy wczesne wznowienie prenumeraty, dla uniknienia zwłoki w przesyłce numerów.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 3-ci i 4-ty powieści pod tyt.: **Stawka na loteryi życia**, przez autorkę *Panny Mani*.

OD REDAKCYI.

W Dodatku do następnego numeru „Bluszczu” rozpoczętym zostanie druk powieści pod tytułem:

SIEROCA DOLA

przez

autorkę powieści „SILNY DUCH”.

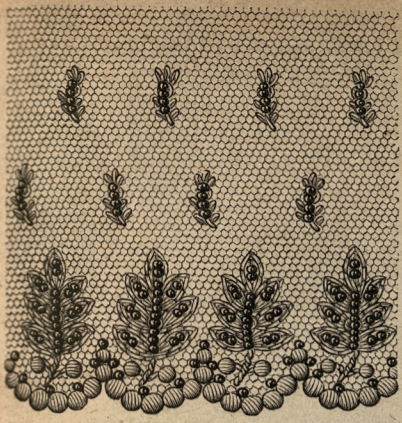
TREŚĆ. Sokrates, wyjątki z poematu dramatycznego, przez Teofila Lenartowicza. — Justka, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. Z dziedziny Sztuk Pięknych, przez r. — Generał Gordon, (dalszy ciąg), przez Maryą Ilnicką. — Nowiny paryzkie (dokończenie). — Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: Arkusz 3-ci i 4-ty powieść pod tytułem: **Stawka na loteryi życia**, przez autorkę „Panny Mani”. — 42 wzory ubiorów i robót wraz z opisem — Sekreta gospodarskie. — Dyspozycją stołu.

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 6 Марта 1885 года.



Kołnierzyk i mankiety z kolorowego hafciku.

Rycina Nr 11 i 12 w Bl. Nr 10.

Krótką szmizetka wszywa się w pasek 2 c. szeroki, na który odwija się hafcik w kolorowe punkciki, który podkłada się atlasową pasową wstążką, na kokardę związaną z przodu. Dogórną podszyta także sama uplisowana koronka. Mankiety zrobione są w podobny sposób.

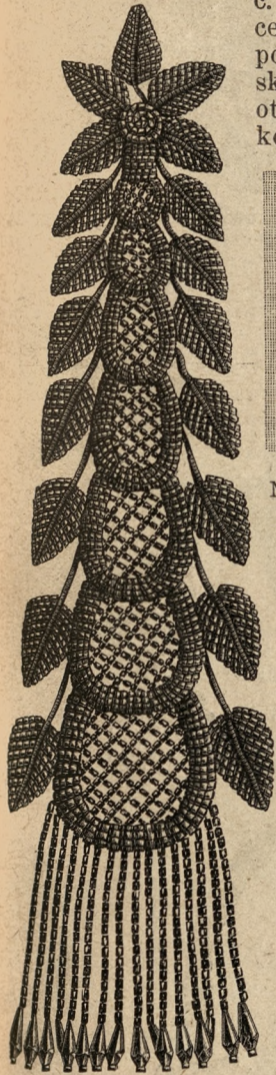
Nr 1. Koronka do kapeluszy, chusteczek i t. p.

uplisowana koronka. Mankiety zrobione są w podobny sposób.

Szale dla pań

Rycina Nr 21 i 22 w Blu. Nr 10.

Szal pod ryc. 21 zrobiony jest z 138 c. długiej, a 38 cent. szerokiej posowej chińskiej materyi, otoczony wokoło wązkim



Nr 6. Znak do bielizny.

haftowanym różno-kolorowym jedwabiem szlaczkiem, którego wzór podaje ryc. 4; brzeżne ząbki haftowane są ścięciem langietkowym, pasowym jedwabiem, a szeroki szlak różno-kolorowym jedwabiem.

Szal pod ryciną 12, zrobiony jest

Nr 10. Pasmanterya. $\frac{2}{3}$ wielkości naturalnej.

z 132 c. długiej, a 28 c. szerokiej materyi „surah” koloru lnu, otoczony wokoło rulonikiem, a przybrany szlaczkiem haftowanym różno-kolorowym



Kolonka do kapeluszy, kołnierzyków i t. p.

Rycina Nr 1 i 2.

Deseniowe figury tych koronek, naszyte są perelkami: koronka ryc. 1 złotymi i bronzowymi, a ryciny 2 bronzowymi i stalowymi zielonkowymi perelkami.



Nr 2. Koronka do kapeluszy, chusteczek i t. p.

Rycina Nr 3.

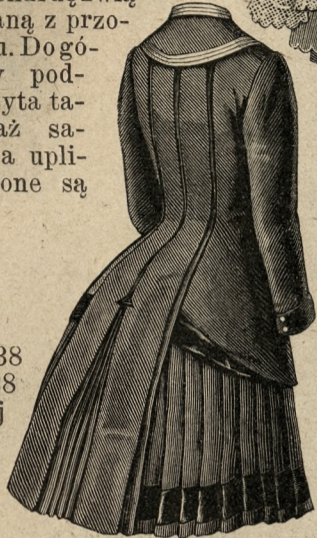
Na tę zasłonkę potrzebny jest 91 cent. długi, a 24 cent. szeroki kawałek pasowej jedwabnej materyi, który należy pociąć z obu stron w ząbki, zeszyć przeciwne strony i ufałdować w odstępie 3 cent. od górnego brzegu i podszyć owiniętym jedwabiem drucikiem, a na wierzchu przyszyć 3 długie kokardy z pasowej atlasowej



Nr 3. Zasłonka na lampę



Nr 5. Sukienka dla panienki od 8 do 10 lat. Prząd. (Do ryc. 20).

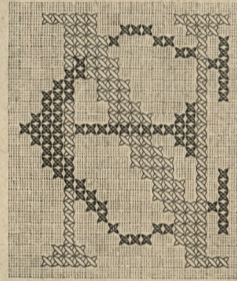


Nr 4. Sukienka dla dziewczynki od 7 do 9 lat. Plecy. (Do ryc. 17).

jedwabiem, podług ryciny 42 w niniejszym numerze Bluszczu.

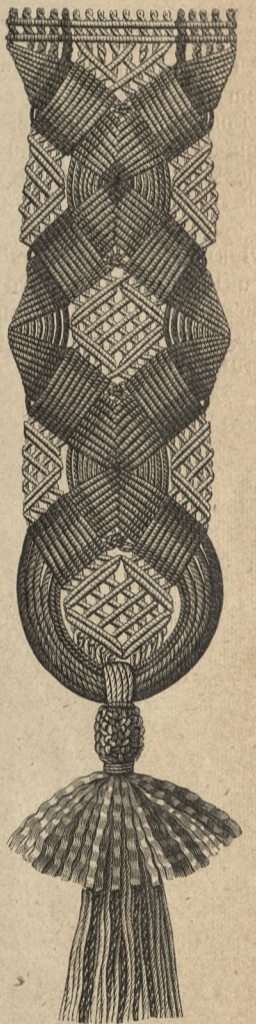


Nr 8. Sofa ozdobiona haftowanymi pasami. (Do ryc. 9).

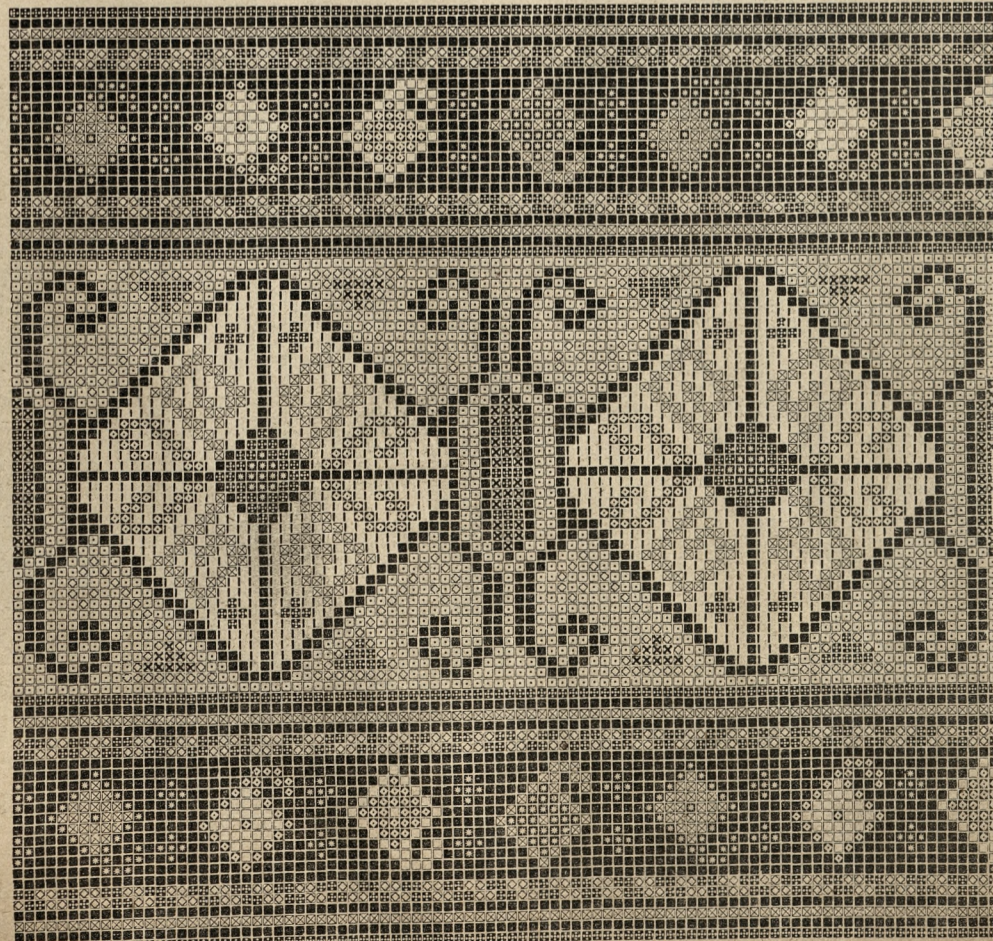


Nr 7. Znak do bielizny.

wej wstążeczki, umieszczone w równej jedna od drugiej odległości; wszystko to pokryte jest ufałdowaną podług ryc., wzwyczajne i w podwójne kontrafaldy i oszyte u góry uplisowaną główką z białego tiulu. Przyszyć główki pokryte



Nr 11. Zakładka do książki robotą wiazaną.



■ ciemno-oliwkowy, ○ jasno-oliwkowy, * pierw. (najciem.), □ drugi, † trzeci (najjaś.) niebieski, ■ pierw. (najciem.), ○ jasno-oliwkowy, * pierw. (najciem.), □ drugi, † trzeci (najjaś.) pasowy, □ ciemno-żółty, □ jasno-żółty.



Nr 13. Suknia z dyagonalu. Prząd. (Do ryc. 15 w Bl. Nr 10).

jest $\frac{3}{4}$ cent. szeroką wstążką, pod którą przewleczona jest wązka pąsowa wstążeczka, zakończona pułkami i końcami.

Sofa przybrana haftowanymi pasami.

Rycina Nr 8

Siedzenie i poręczę tej sofj pokrytej pązkowaną matyją miedzianego koloru, przybrana dwoma pasami haftowanymi na kanwie „antique”, koloru „écaru”, różnobarwną włóczką i kordonkiem, ścięciem krzyżowym, podług ryc. 9. Siedzenie oszyte jest w koło szlakiem przybranym sznurkiem i frendzlą, składającym się z dużych zębów połączonych końcami i wypełnionych bufkami. Poręczę przybrane bardzo grubym różnobarwnym sznurkiem, takież kwastami i rozetami.

Pasmanterye.

Rycina Nr 10.

Pasmanterya służąca do ozdoby różnej konfekcyi damskiej, zrobiona jest z czarnych perełek i atlasowego sznurka.

Czepeczek z koronki i wstążki.

Rycina Nr 14.

Do podłużne podstawy, która nad czołem powinna mieć 6 cent., a na końcach 1 i pół cent. szerokości, przyszywa się tiul ściągnięty w około na wzór siatki. Siateczka ta pokrywa się ufaldowaną koronką naszywaną wzdłuż i pośrodku przyszywają się dwa ruloniki, w które przewleka się wążka wstążeczka „moirée”. Pukle, końce i kokardy z takiejże wstążeczki, oraz ufaldowana koronka, dopełniają przybrania czepeczka, podług wskazania ryciny.



Nr 17. Sukienka dla dziewczynki od 7 do 9 lat. Przd. (Do ryc. 4). Krój i opis odwr. str. tabl. VI, fig. 41—50.

Nr 18. Sukienka dla dziewczynki od 4 do 6 lat. Opis pierw. str. tabl.

stawy 21 cent. długim paskiem i objąć ją drutem, a następnie wstążeczką i przyszyć do niej 18 cent. długą, a 31 cent. szeroką, ufaldowaną podług ryci-



Nr 15. Czepeczek z koronkowego tiulu, koronki i wstążki. (Do ryc. 21).



Nr 14. Czepek z koronki i wstążki.



Nr 16. Czepeczek z „satin-merveilleux” i koronki.



Nr 19. Ubranie dla chłopczyka od 3 do 5 lat. Krój i opis pierw. str. tabl. Nr III, fig. 17—26.

Nr 20. Sukienka dla pаниenki od 8 do 10 lat. Płecy. (Do ryc. 5). Opis odwr. str. tabl.

Czepeczek z satin-merveilleux i koronki.

Rycina Nr 16.

Na ten czepeczek potrzebny jest owalny, 31 cent. długi, a 28 cent. szeroki kawałek z satin-merveilleux kremowego koloru, który po ufaldowaniu przyszywa się do podstawy objętej drutem i wstążeczką. Następnie oszywa się go w koło 9 cent. szeroką kremową koronką, po nad nią przyszywa się wążka wstaweczka tak, aby można było przewlec wstążeczkę i ściągnąć; z przodu ubranka dodaje się kawałek satin-merveilleux, oszyty koronką i ułożony na wzór kokardy

Czepeczek z koronki.

Rycina Nr 22

Podstawa czepeczka szersza z przodu, a wążka na końcach, robi się ze sztywnego tiulu, oszywa drutem i koronką. Do tej podstawy przyszywa się główka 14 c. szeroka i długa, z przodu zaokrąglona, z tyłu wycięta w ząb, oszyta w koło dwa razy ufaldowaną koronką i pokryta bufiasto częścią zeszytą z koronkami, która się z tyłu ściąga na różową wstążeczkę, a z przodu układa się w fałdy 3 centim. szeroka różowa wstążeczka, której końce związane są z tyłu i rozety z wążki wstążeczki dopełniają przybrania.

Fiszotka z tiulu, koronki i wstążki.

Rycina Nr 32.

Na tę chusteczkę potrzebny jest 64 c. długi, a 49 cent. szeroki kawałek koron-



Nr 28. Suknia dla młodej osoby. Opis odwr. str. tabl.

Nr 29. Suknia z popeliny. Opis odwr. str. tabl.



Nr 26. Suknia z deseniowego woalu i lekkiej materyi. Opis pierw. str. tabl.

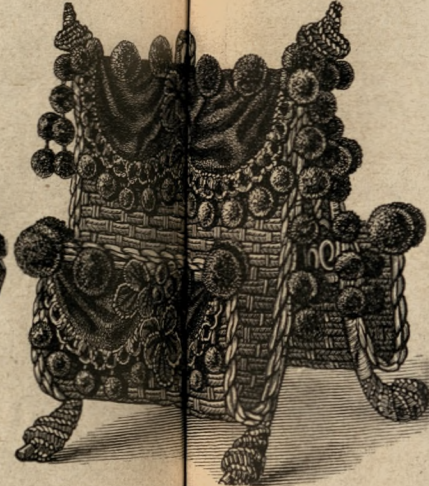
Czepeczek z tiulu, koronki i wstążki.

Rycina Nr 15 i 21.

Ukrając 31 centim. długą podstawę, zrobić w srodku, z przodu fałdkę, połączyć konce pod-



Nr 21. Czepeczek z koronkowego tiulu, koronki i wstążki. Do ryc. 15.



Nr 23. Podstawa do roboty szydełkową.



Nr 22. Czepeczek z koronki



Nr 24. Bransoletka w stylu „renaissance”.



Nr 2. Bransoletka w stylu „rococo”.



Nr 32. Koinerzyk chusteczki z koronkowego tiulu, koronki i wstążki.



Nr 27. Suknia z woaliny i gazy sznelowej. Opis pierw. str. tabl.

tniej pasową aksamitną wstążką, powleczone koronkowym tiulem. Kokardy i końce z takiejże wstążki dopełniają przybrania.



Nr 30. Suknia dla młodej osoby. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr V, fig. 29—40.

Nr 31. Suknia z kaszmiru. Opis odwr. str. tabl.

kowego tiulu, zmarszczonego u góry, oraz w odstępnie 35 cent. od górnie-brzegu. Podłużne brzegi do 42 cent., oraz dolny brzeg oszywają się koronką i układają w fałdy podług ryciny; wolny jeszcze kawałek lewego brzegu oszywa wstążką zakończoną kokardą; u góry chusteczka przyszyta do paska, pokrytego ufałdowaną koronką i zakończoną z boku kokardą. Przyszycie fałdów u dołu chusteczki, zakryte rozetą ze wstążki.



Nr 34. Chusteczka od nosa.

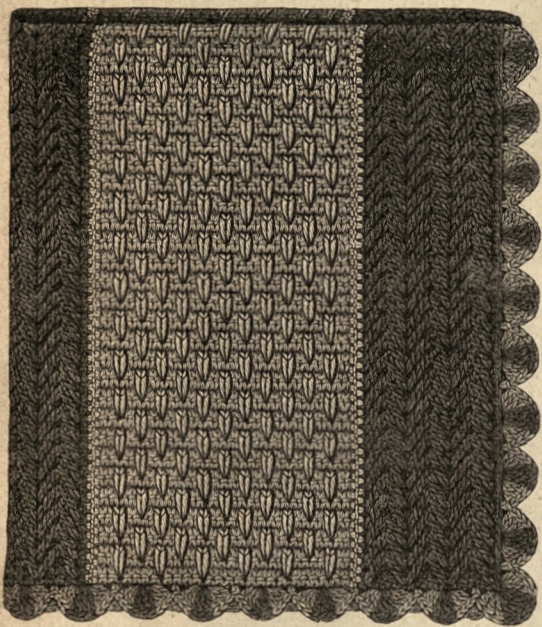


Nr 35. Kwiatek do ryc. 23. Połowa wiel. natur.

Przepisy gospodarskie.

Jajka sadzone na maśle czyli na półmisku (sur plat).

Jajka sadzone na maśle — bar-



Nr 38. Kołdra szydełkową robotą. (Do ryc. 26 i 27 w Bl. Nr 10.)

dzo smaczna i pożywna potrawa, muszą być robione na blaszonym półmisku i z niem razem podane. Postawić taki półmisek na rozgrzanej blasze kuchni angielskiej — lub nad rozżażonymi węglami — nigdy nie nad płomieniem; włożyć na cztery jaja łyżkę młodego solonego masła, a gdy zawrze dobrze, ale nie zrumieni się, wpuszczać szybko blisko, nad półmiskiem, jajka, jedno obok drugiego tak, aby się nie złączyły — i za trzy minuty, gdy na



Nr 40. Część haftu do ryc. 39. Wielkość naturalna.

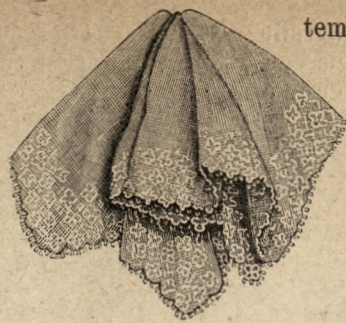
Nr 42. Szlak do szala ryc. 22 w Blu. Nr 10.

tem gorącym maśle dostaną koszulki z białka uformowanej, podać razem z półmiskiem. Są w składach patelni o 4 lub 6, a nawet 8 wydrążeniach, do smażenia takich jaj — mniej to jednak wygodne, przy podawaniu na stół, jak półmiscozek.

Doświadczenie gospodarskie.

1. Dwa łyty oleju terpentynowego wymieszane z 8 łytami benzyny i 3 kropkami oleju cytrynowego, są wyborym środkiem dezynfekcyjnym mieszkania lub t. p., tem więcej, że zapach terpentyny jest zdrowym środkiem dla systemu oddechowego.

2. Blondynę białą dobrze jest prać w terpentynie francuskiej, maczając i wyci-



Nr 33. Chusteczka od nosa.



Nr 36. Kwiatek do r. 9 w B. Nr 10. Połowa wielkości natural.

Nr 37. Paltocik krótki. Krój i opis odwr. str. tabl. Nr VII. fig. 51—56.

Obiad na Niedzielę.

1. Rosół z francuzkami kluskami.
2. Sztukamięsa biała z korniszonami.
3. Potrawa z kur z amoretkami, lub pulardy z różną z sałatą świeżą.
4. Legumina parzona z szodnem.

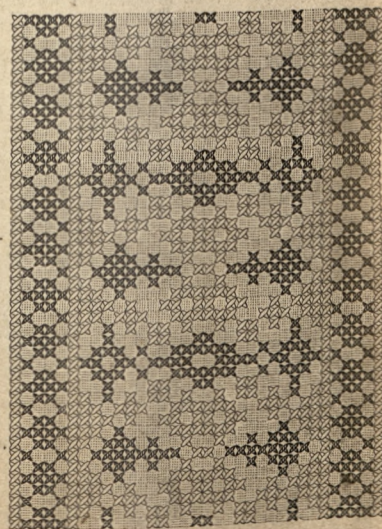
Nr 39. Przykrycie na krzesło, sofę i t. p. gałązkowym ścięciem (Do ryc. 40). Wzór pierw. str. tabl. Nr IV, fig. 27 i 28.

skając jakby w benzynie, a następnie butelką przez płótno gładzić, zamiast prasowania.

L. C.

U W A G A.

Tablica krojów, objaśniająca wzory ubiorów i robót dziś podane, dołączoną była do N-ru 10.



Nr 41. Szlak do prześcieradeł i t. p. ścięciem krzyżowym.